



**Barbara Taylor Bradford**

**Trzy tygodnie w Paryżu**



***Miłość.  
Tak naprawdę  
tylko ona się liczy:***

RS

## Prolog

Przemierzając rue Jacob, mężczyzna, zziębnięty na wskroś, postawił kołnierz palta. Był mroźny lutowy dzień, przewiany lodowatym wiatrem z rosyjskich stepów, który hulał teraz po równinach Europy i spadł na Paryż w postaci silnego huraganu.

Niebo spłowiło, pastelowe słońce lizało dachy, skrząc się niemal srebrzyście w zimnej zorzy, bez krztyny ciepła. Ale Paryż jest zawsze piękny, przy każdej pogodzie. Nawet w deszczu roztacza swój urok.

Mężczyzna wypatrzył taksówkę, podniósł rękę. Kiedy się zatrzymała, prędko wskoczył, poprosił o kurs na pocztę. Wyjął siedemdziesiąt jeden kopert ze znaczkami, wrzucił wszystkie do skrzynki, wrócił do taksówki.

Następnie podał kierowcy adres siedziby poczty kurierskiej FedEx i rozparł się wygodnie na siedzeniu, co jakiś czas wyglądając przez okno. Z jaką radością wrócił do Miasta Świąteł, chociaż ubolewał, że nie jest ciepłej. Przemarzył do szpiku kości.

W biurze FedEx wypełnił stosowne formularze i wręczył je urzędnikowi razem z czterema białymi kopertami. Wszystkie miały zostać doręczone w ciągu doby, a były adresowane do czterech miast w rozrzuconych, odległych zakątkach świata.

Następnie poprosił taksówkarza o zawiezenie go na nabrzeże Woliera. Tam skierował się do jednego z ulubionych barków na Lewym Brzegu. Gdy tak szedł, zatopiony w myślach, nie miał pojęcia, że właśnie zrobił coś, co miało odmienić życie kilku osób. Nieodwołalnie i ostatecznie.

## Rozdział pierwszy

To była ulubiona pora dnia Alexandry Gordon. Szarówka, tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy wszystko powoli cichło, zlewało się razem. Zmierzch.

Jej niania, Szkotka, nazywała tę porę szarą godziną. Alexa uwielbiała to określenie, bo miało w sobie coś czarodziejskiego. Już jako mała

dziewczynka wyglądała tej przedwieczornej pory tuż przed koloq'a. Kiedy wracała ze szkoły z bratem Timem i nianią trzymającą ich oboje za ręce, zawsze towarzyszyło jej niejasne przeczucie, że czekają coś specjalnego. To wrażenie nigdy jej nie odstępowało. Poza domem zmierzch kojarzył jej się z oczekiwaniem.

Wstała od stołu kreślarskiego i podeszła do okna. Z jej pracowni w dawnej hali fabrycznej roztaczał się widok na dachy Manhattanu. Niebo miało idealny koloryt, mieszaninę śliwki i fiołka, liźniętą z lekka przydymioną szarością przechodzącą w spłowiwały róż. A wieże metropolii ginęły w mglistych obrazach rysujących się na tle fioletowego nieba.

Alexandra uśmiechnęła się. Odkąd sięgała pamięcią, wierzyła, że to magiczna pora dnia. W świecie filmu, w którym ostatnio się obracała, zmierzch nosił wręcz nazwę magicznej godziny. Gdy tak patrzyła na niebo, zaczęły do niej wracać strzępy dzieciństwa. Na chwilę zanurzyła się we wspomnieniach lat spędzonych w zamożnej dzielnicy Nowego Jorku, dzieciństwa pełnego miłości i poczucia bezpieczeństwa. Ich matka pracowała, zresztą do tej pory to czyni, a mimo to nie zaniedbywała ani jej, ani Tima. Ojciec zresztą też. Ale to matka ukształtowała w niej to, co najcenniejsze, i na wiele sposobów Alexa była jej dziełem.

Po dłuższej chwili ocknęła się, wróciła do stołu i spojrzała świeżym okiem na skończony właśnie projekt. Była to ostatnia z cyklu sześciu plansz, przedstawiających wiejski zimowy krajobraz.

Wiedziała, że znakomicie uchwyciła kwintesencję śnieżnego wieczoru w lesie. Schyliła się, wzięła planszę i zaniósła ją w drugi kąt studia, gdzie stały w rzędzie inne panele. Wpatrywała się intensywnie w ukończony cykl, wyobrażając go sobie jako gigantyczną scenografię, gdyż niebawem miał trafić na scenę. Jeśli chodzi o jej zdanie, trafiła dokładnie w żądania reżysera.

- Słuchaj, Alexo, chcę poczuć zimno - powiedział Tony Verity podczas pierwszego spotkania. - Chcę poczuć w kościach tę mroźną noc. Żeby na widok twojej scenografii miał ochotę popędzić wprost przed buzujący ogniem kominek.

Kiedy cofnęła się o krok, by popatrzeć na pracę z pewnej odległości, przypomniała sobie chwilę swojej inspiracji. Wyobraziła sobie Sankt Petersburg zimą, a następnie lasy na rozległych przestrzeniach za tym miastem. Za sprawą fantazji ożywiła tę scenerię, zupełnie jakby puściła sobie w głowie film - nagie drzewa zaśnieżyły ociekającymi soplami, świeże zaspasy śniegu spiętrzyły się między drzewami na podobieństwo białych wydm...

Zadumę przerwał jej ostry dzwonek do drzwi. Podeszła do domofonu na ścianie.

- Kto tam?
- Jack. Wiem, że jestem za wcześnie. Mogę wejść?
- Jasne.

Nacisnęła guzik otwierający drzwi od ulicy, po czym zbiegła piętro niżej, żeby wpuścić gościa.

Po chwili Jack Wilton, opatulony czarnym paltem, szedł ku niej z uśmiechem na wrażliwej, myślącej twarzy.

- Wybacz, że przeszkadzam ci w godzinach pracy, ale byłem z Billem Tomkinsem tuż za rogiem w Galerii Cromera. Uznałem, że to idiotyzm wracać teraz do domu, a zaraz potem tu przyjeżdżać. Posiedzę sobie w kąciку i pooglądam wiadomości CNN, dopóki nie skończysz.

- Właśnie skończyłam - odparła, śmiejąc się. - Skończyłam ostatnią planszę.

- To wspaniale! Moje gratulacje!

Wchodząc do małego przedpokoju jej mieszkania, przyciągnął ją do siebie, po czym kopnięciem zatrzasnął drzwi wejściowe. Uścisnął ją mocno, a kiedy musnął ustami jej policzek, aż ciarki ją przeszły. Zdumiała się, bo od dawna już nic między nimi nie iskrzyło.

Jack najwyraźniej też. Cofnął się, zmierzył ją wzrokiem, po czym pocałował mocno i namiętnie. A następnie mruknął jej do ucha:

- Chodź, poszukamy łóżka.

Odsunęła się, spojrzała w jego przejrzyste szare oczy, bardziej dzisiaj uduchowione niż kiedykolwiek.

- Nie wygłupiaj się.

Powiedziała to z delikatnym, uwodzicielskim uśmiechem.

- Ja się wygłupiam? Pójście do łóżka to żaden wygłup. Traktuję te sprawy z wielką powagą.

Rzucił palto na podłogę, objął Alexę i poprowadził do sypialni. Zatrzymał się na środku pokoju, wziął ją za ramiona, obrócił do siebie.

- Oddaliłaś się, bo czegoś ci było brak - powiedział z tak wyraźnym brytyjskim akcentem jak nigdy.

Patrzyła na niego w milczeniu.

Nachylił się nad nią, pocałował delikatnie w usta.

- Ale czuję, że raptem wróciłaś.

- Tak mi się zdaje.

- Bardzo się cieszę, Lexi.

- Ja też.

Uśmiechnął się chytrze.

- A dokąd się tak oddaliłaś?

- Sama nie wiem. Chyba zapadłam się w czeluść pracy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, bo sam był artystą, i czasem, kiedy malował, też potrafił się tak zapaść. Ale naprawdę za nią się stęsknił, a jej dystans bardzo go martwił. Teraz zaczął całować ją czule, zanurzyli się oboje w całkowitej intymności.

Trzymając ją w ramionach, wyszeptał prosto do jej ucha:

- Ale nie uciekniesz mi znowu?

- Nie, przedtem nagliła mnie praca.

- Dobrze, że to nie miało związku ze mną. Że się nie rozmyśliłaś co do mnie.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś najlepszy, Jack, najlepszy. Naprawdę... wyjątkowy.

Przyjrzał jej się w półmroku gasnącego dnia, zastanowił, czy z niego nie drwi. Ale dojrzał żar w jasnozielonych oczach i powiedział cicho:

- Chciałbym, żeby to był związek na stałe.

Kochał te jej przejrzyste oczy, z których teraz wyzierało zdumienie.

- Jack... nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz „tak”.

-Dobrze. Tak.

- Mówię o małżeństwie - mruknął, wyraźnie stremowany. Wpatrywał się w nią w skupieniu, świdrował ją dosłownie wzrokiem.

- Wiem.

- I co? Wyjdiesz za mnie?

- Tak, wyjdę.

Na jej szczupłej twarzy powoli wykwitł ciepły uśmiech. Jack schylił się, pocałował ją w czoło, w nos, w usta.

- Tak się cieszę. Tak się strasznie cieszę, Lexi, że będziesz moja, tylko moja. O raju, coś wspaniałego! I będziemy mieli dziecko albo dwoje, prawda?

Roześmiała się, widząc, że Jack szaleje wprost ze szczęścia.

- Rzecz jasna.

Z obojga kipiała radość, tak upajali się swoją młodością i życiem. Po chwili Jack przybrał jednak poważną minę, a Alexandra urwała w pół słowa.

- Ale nie zmienisz zdania, Lexi?

- Jasne, że nie, matołku. - Musnęła go w policzek, uśmiechnęła się uwodzicielsko. - No, to może zabierzmy się od razu... do robienia tych dzieci?

- Oj, teraz nic mnie nie powstrzyma... - zaczął, ale urwał, bo zadzwonił domofon.

Alexandra wybiegła do przedpokoju.

- Tak?
- Przesyłka FedEx dla pani Gordon.
- Dziękuję. Już otwieram. Czternaste piętro.

Kopia oryginalnej faktury na kopercie FedEx była tak słaba, że Alexandra z ledwością odczytała nazwisko i adres nadawcy. Właściwie tylko odcyfrowała „Paryż, Francja”.

Stała z kopertą w ręce, marszcząc nos. A po chwili serce jej drgnęło. Jack zawołał do niej z progu sypialni:

- Od kogo to? Taką masz zdziwioną minę.  
- Bo nie mogę odczytać nazwiska. Chyba najlepiej, jak otworzę - odparła, udając śmiech.

- Niezły pomysł - podchwycił odrobinę uszczypliwie Jack.

Natychmiast wyczuła jego zniecierpliwienie, jakby to była jej wina, że dostawa przesyłki przeszkodziła im w amorach. Ale nie chcąc zadrażniać sytuacji, rzuciła pojednawczo:

- Ech, to może poczekać! - Odłożyła kopertę na stolik w przedpokoju i dodała: - Chodźmy do łóżka.

- Wiesz, jakoś mi przeszło, lalka. Kopnę się teraz pod prysznic, zaparz mi różanej herbaty, a potem wrzucimy coś na ruszt - powiedział, małpując gwarę londyńskiej ulicy.

Wpatrywała się w niego, zagryzając wargę.

Na widok jej stropionej miny Jack Wilton natychmiast pożałował swojej błazenady. Zmiękł, przyciągnął ją do siebie, uściskał.

- Przepraszam, Lexi, poniosło mnie. Wybacz, proszę. Już dobrze?  
- Wbił w nią błagalny wzrok. - Sama widzisz, jak się zdenerwowałem. I chyba wiesz, dlaczego. Bo tak się nastawiłem na to robienie dzieci.

Alexandra przymknęła oczy, myśląc o kopercie na stole. Już się zaczęła martwić. Domyślała się, od kogo może pochodzić przesyłka. Nadawcą mogła być tylko jedna osoba... Ta myśl przejęła ją dreszczem.

Myliła się jednak.

Później, po otwarciu, okazało się, że to wcale nie list, lecz zaproszenie. Odczuła niewymowną ulgę, uśmiech opromienił jej twarz.

- Jack, to zaproszenie na przyjęcie w Paryżu. Moja cudowna Anya wydaje bal.

- Właścicielka tej szkoły, do której chodziłaś? Jak brzmi pełna nazwa?  
Aha, chyba Szkoła Rzemiosł Artystycznych Anyi Sedgwick?

- Zgadza się.

- A z jakiej okazji?

- Urodzin. - Alexandra oparła się o futrynę drzwi i przeczytała tekst zaproszenia na wytłaczanym kartoniku: „Mamy przyjemność zaprosić panią na bankiet z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin Anyi Sedgwick. Sobota, 2 czerwca 2001. Ledoyen, Carre Champs-Elysees, Paryż. Koktajl 20.00. Kolacja 21.00. Bal 22.00". Prawda, jak miło, Jack? Zapowiada się cudowny bal.

- Zapowiada się imponująco. A możesz przyjść z kimś?

Alexandra spojrzała ponownie na zaproszenie. Jej nazwisko elegancko wykaligrafowano, ale obok nie było dopisku - z osobą towarzyszącą.

- Nie sądzę. Tu jest tylko moje nazwisko... - powiedziała cicho.

Przez chwilę się nie odzywał, po czym spytał:

- Wybierzesz się?

- Jeszcze nie wiem. Uzależniam to od pracy. Jeszcze została mi do skończenia jedna niewielka scenografia do „Zimowego weekendu". Jeżeli nic mi nie wpadnie, będę bezrobotna.

- Na pewno wpadnie, Lexi - pocieszył ją z uśmiechem. - A teraz pozwól mi się oddalić do kuchni. Zanim się obejrzysz, przygotuję spaghetti z sosem pomidorowym dla pani mego serca.

Roześmiała się przyzwalająco. Sama usiadła na kanapie z zaproszeniem w ręce. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w nie, myśląc o Anyi Sedgwick, swojej dawnej nauczycielce, mistrzyni i przyjaciółce. Dawno jej nie widziała. Ogarnęła ją radość na myśl o ponownym spotkaniu. Przemiała uroczystość. Paryż wiosną. Zapowiadało się cudownie...

Ale w Paryżu był też Tom Connors.

Na samą myśl o nim poczuła dławienie w gardle.

Alexandra obudziła się nagle. W pokoju panowała cisza, ale przez dłuższą chwilę zdawało jej się, że ktoś stoi obok, jakby czał się przy łóżku. Nie ruszała się, odsunęła od siebie to uczucie, bo wiedziała, że to tylko zwid, ucieleśnienie jej marzeń sennych.

Ale zawsze wybudzała się z takich snów powoli. Porażały ją swoją wyrazistością. Nawet teraz, kiedy leżała wsparta na poduszkach, czuła go, zapach jego ciała, włosów, wody kolońskiej. Nawet smak w ustach, jak gdyby ślad po jego żarliwych pocałunkach.

Tyle że tej nocy wcale nie było go przy jej boku. Spała sama.

Wiedząc, że sen się zaraz rozplynie, usiadła, zapaliła lampkę przy łóżku, zsunęła długie nogi na podłogę. Otuliła się błękitnym wełnianym szlafrokiem, poszła do kuchni, zapalając po drodze światła. Marzyła o filiżance uspokajającej herbaty rumiankowej. Nastawiła czajnik z wodą, usiadła na taborecie i zamyśliła się nad snem, który powracał z taką re-



gularnością. I zawsze miał taki sam przebieg. Nagle ten mężczyzna znajdował się tuż obok, brał ją w ramiona, szeptał o swojej tęsknocie i o tym, jak bardzo jej pragnie. Zawsze przypominał, że Alexa jest miłością jego życia, jedyną prawdziwą miłością.

Sen odznaczał się takim stopniem realności, że czuła się wręcz zniewolona tą zmysłowością i męskością. Nic dziwnego, mruknęła pod nosem. Przecież w nocy kochałam się z Jackiem Wiltonem.

Niby tak, potwierdził głos w jej głowie, ale sęk w tym, że we śnie kochasz się tylko i wyłącznie z Tomem Connersem.

Alexa westchnęła, zapaliła światło i usiadła na fotelu przy kominku. Popijając herbatę, wpatrywała się w dogasające węgle.

Co z nią było nie tak? Pytanie zawisło nad jej głową jak czarna chmura.

Kochała się z Jackiem, upajała każdą chwilą, bo niespodzianie wróciła dawna namiętność, która przedtem znikła niestety na wiele miesięcy. Alexa składała to na karb zmęczenia, pracy, nacisku i stresu związanego z pilnym terminem scenografii do nowej sztuki. Ale w głębi duszy wiedziała, że chodzi o coś innego. Po prostu czuła dziwny opór przed zbliżeniem. Dlaczego? Jack był pociągający, przystojny na swój stonowany sposób, i potrafił rozśmieszać ją do łez.

Kłębowisko sprzecznych myśli rozsadzało jej głowę. Przymknęła oczy, pragnąc ten chaos uporządkować. I wtem aż się wyprostowała. O Boże, przyjęłam oświadczyiny Jacka!

- Musimy wyprawić prawdziwe wesele - uparł się. - Dla twojej rodziny i dla mojej, pełna gala. Bardzo mi na tym zależy, Lexi.

Skinęła głową na znak zgody. Po kolacji pomógł jej wstawić naczynia do zmywarki, potem poszli do łóżka. Wyszedł od niej o piątej. Cmoknął ją w policzek i szepnął, że chce się od rana zabrać do pracy nad dużym płótnem na zbliżającą się wystawę.

Jej się natomiast śnił inny mężczyzna, i to w nader intymnej sytuacji. Mimo herbaty rumiankowej rozbudziła się już na dobre. Spojrzała na mały mosiężny zegar na kominku. Było dziesięć po szóstej.

Czyli w Paryżu dziesięć po dwunastej.

Pod wpływem impulsu chwyciła słuchawkę ze stolika, wystukała numer do jego pracy, bezpośrednią linię. W okamgnieniu w Paryżu rozdzwonił się telefon.

Jeszcze chwila i usłyszała jego głos:

- *Allo.*

Przycisnęła słuchawkę mocniej. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Z trudem łapała oddech.

- Tom Conners *ici*. -I znowu, tym razem po angielsku. - Halo? Tu Tom Conners. Kto mówi?

Odłożyła delikatnie słuchawkę. Ręce jej się trzęsły, serce łomotało w piersi. Wzięła kilka głębokich oddechów, usiadła wygodniej w fotelu, zapatrzyła się przed siebie.

Czyli jest w pracy. Cały i zdrowy.

Gdyby pojechała do Paryża na przyjęcie urodzinowe Anyi Sedgwick, na pewno nie oparłaby się pokusie. Zadzwoiłaby do niego, a on zaprosiłby ją na drinka. Przyjęłaby zaproszenie i umówiła się. I to oznaczałoby jej koniec.

Ponieważ Tom Conners był mężczyzną tak zniewalającym, tak silnym i pełnym uroku, że zawładnął jej sercem i myślami, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na długi czas.

Przestali się widywać trzy lata temu. I chociaż to on zerwał, wiedziała, że gdyby zrobiła pierwszy ruch, na pewno zechciałby się z nią zobaczyć.

Co za idiotka z ciebie, łajała się w duchu. Ogarnęła ją złość, wszystkie myśli skupiła na Jacku Wiltonie. Uwielbiał ją, podziwiał jej talent, chwalił zapał i dyscyplinę. Zawsze miał dla niej czas. I lubili go jej rodzice.

Tak, Jack świetnie nadawał się na męża. Zresztą kochała go na swój sposób.

Zerwała się z fotela i wróciła do łóżka. Koniec wahań, Jack Wilton zostanie jej mężem, i już. Niestety, musi zrezygnować z przyjęcia na osiemdziesiąte piąte urodziny Anyi. Dla własnego dobra.

Siedząc przy mahoniowym stole w eleganckim salonie mieszkania rodziców przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, Alexandra zajadała się omletem z pomidorami, który mama właśnie jej usmażyła.

- Pycha! - pochwaliła, a po chwili dodała: -I dzięki, że znalazłaś dla mnie czas. Wiem, że lubisz mieć soboty dla siebie.

- Och, nie żartuj. Cieszę się, że jesteś - odparła Diana Gordon z serdecznym uśmiechem. - Właśnie miałam do ciebie rano dzwonić, kiedy odezwałaś się pierwsza, że wpadniesz na wczesny obiad. - Diana popiła wody i zapytała córkę: - Masz ochotę na kieliszek wina, kochanie?

- Nie, dziękuję, mam. Wino mnie usypia. Wolę kalorie zawarte w chlebie.

Z tymi słowami sięgnęła po kawałek bagietki, pociętej przez mamę i ułożonej w srebrnym koszyku na pieczywo. Posmarowała ją grubo masłem i ugryzła.

- Przecież masz doskonałą figurę i nie musisz się martwić o dietę - przypomniała jej Diana, mierząc córkę wzrokiem. Znowu pomyślała,

jak młodo Alexa wygląda na swój wiek. Trudno było uwierzyć, że ma już trzydzieści lat. W lecie skończy trzydzieści jeden. A wydaje się, że jeszcze wczoraj kręciła jej się pod nogami. Trzydzieści jeden lat, zadumała się, a ja w maju kończę pięćdziesiąt osiem. I gdzie się te lata podziały? David w czerwcu skończy pięćdziesiąt dziewięć. A jeszcze bardziej niesamowite jest nasze małżeństwo. Tak długo przetrwało i nadal nam ze sobą dobrze.

- Mamo, o czym myślisz? - spytała Alexa.

- Zamyśliłam się nad ojcem. I nad naszym małżeństwem. Spędziliśmy razem trzydzieści trzy lata. Przeleciały jak z bicia trzasnął.

- Macie szczęście - mruknęła Alexa. - Żeście na siebie trafili.

- Żebyś wiedziała.

- Jesteście jak dwie połówki jabłka.

Przyglądała się mamie, myśląc, jaka jest piękna, z tą swoją brzoskwińową cerą, jasnozłocistymi włosami. No i te jej niezwykle błękitne oczy. Diana pokiwała głową, zmrużyła nieco oczy.

- Zapowiadałaś przez telefon, że chciałabyś o czymś porozmawiać.

- Może odłożmy to na później? Przy kawie? - zaproponowała prędko Alexandra.

- Oczywiście. Ale czy coś się stało?

- Zależy mi, żebyś mnie wysłuchała. Nie znam lepszej słuchaczki.

- Chodzi o Jacka?

- Teraz mówisz, jak wszystkie matki. Na szczęście to u ciebie rzadkość.

Nie, nie chodzi o Jacka.

- Alexo, bądźże dla mnie ciut bardziej wyrozumiała. A tak przy okazji, Jack Wilton bardzo mi się podoba.

- Wiem. Jemu wy też się podobacie.

- Bardzo mi miło. Ojciec i ja uważamy, że będzie świetnym zięciem. Alexa się nie odezwała.

Pół godziny później Alexandra siedziała w salonie i przyglądała się, jak mama nalewa kawę.

- Chętnie cię wysłucham, Alexo, kiedy tylko będziesz gotowa.

Alexa wzięła od mamy filiżankę. Odstawiła na niski, antyczny stolik.

Oparła się o weneckie aksamitne poduchy na kanapie.

- Wczoraj wieczorem dostałam zaproszenie na przyjęcie do Paryża. Anya obchodzi osiemdziesiąte piąte urodziny.

Szeroki uśmiech zagościł na twarzy Diany.

- Nie do wiary! Cóż za niespożyta kobieta! A tobie gratuluję cudownej wycieczki. Kiedy się wybierasz?

- Przyjęcie zaplanowano na drugiego czerwca. Ale chyba się nie wybiorę, mamó.

Diana zdumiała się.

- Ciekawe dlaczego? Anya zawsze darzyła cię szczególnymi względami. Może nawet bardziej niż inne... - Diana raptem urwała. - No tak, rozumiem. Nie chcesz jechać, żeby się nie spotkać z koleżankami. Wcale ci się nie dziwię. W końcu okazały się dość perfidne.

Nagle Alexandra uzmysłowiła sobie, że nie pomyślała nawet o dawnych koleżankach, z którymi przyjaźń zamieniła się we wrogość. Skupiła się wyłącznie na Tomie Connersie, lecz teraz zrozumiała, że i o nich powinna pomyśleć. Mama ma rację. Również ze względu na nie powinna trzymać się z daleka od Paryża. Bo na pewno zjawią się na przyjęciu.

- Święte słowa, mamó. Nie mam ochoty ich oglądać - oznajmiła. - Ale nie dlatego nie chcę jechać. Chodzi mi o Toma Connersa.

Diana pochyliła się do przodu, jej oczy zwięzły się w szparki.

- Toma Connersa? Czy to ten Francuz, którego nam przedstawiłaś kilka lat temu?

- Zgadza się, z tym zastrzeżeniem, że jest pół Francuzem, pół Amerykaninem. Jego ojciec, Amerykanin, wyjechał na początku lat pięćdziesiątych do Paryża. Tam ożenił się z Francuzką i został. Tom zawsze mieszkał we Francji.

- Jeśli dobrze pamiętam, to prawnik. Całkiem przystojny. Ale nie sądziłam, że łączy was coś poważniejszego. Myślałam, że to raczej przygoda, co najwyżej romans.

- Hm, trwał blisko dwa lata.

- Rozumiem. - Diana oparła głowę na fotelu. - Czyli wciąż ci ten Tom Conners chodzi po głowie?

- Nie. Tak. Nie... Przestaliśmy się widywać, on się nie odzywa. Ale wciąż jest obecny... we mnie, w moich myślach...

Głos jej się urwał, spojrzała na mamę bezradnie.

- W takim razie, dlaczego z nim zerwałaś? - spytała Diana.

- Nie zerwałam. Tom odszedł. Minęły już trzy lata.

- Ale dlaczego? - nastawała matka.

- Bo zależało mi na ślubie, a on nie mógł się ożenić.

- Jest żonaty?

- Nie. Ani teraz, ani wtedy.

- Chyba nie bardzo rozumiem, kochanie - mruknęła Diana.

Alexa zawahała się, nie będąc pewną, czy się zdobędzie na opowiadanie mamie wszystkiego. To wspomnienie niosło tyle bólu, tyle udręki. Ale kiedy dojrzała troskę na twarzy matki, uznała, że nie ma wyboru.

- Tom ożenił się bardzo młodo ze swoją sympatią jeszcze z dzieciństwa, Juliette. Mieli córeczkę, Marie-Laure. Podobno byli idealną parą, piękną, szczęśliwą. I wtedy los go straszliwie doświadczył.

Alexa urwała, wzięła głęboki oddech, po czym wróciła do opowieści.

- W lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku wyjechali na urlop do Aten. Pod koniec urlopu Tom musiał się spotkać z klientem, który miał tam dom letniskowy. Umówił się z Juliette i z Marie-Laure na lunch w ich ulubionej kawiarni, ale się spóźnił. Kiedy dotarł wreszcie na miejsce, zobaczył wielkie zamieszanie. Cały plac był zastawiony radiowozami policyjnymi i karetkami pogotowia. Dokonała się tam istna rzeź. Zaledwie kilka minut przed jego przybyciem w autokarze stojącym przed kawiarnią wybuchła podłożona przez terrorystów bomba.

Urwała na chwilę, ale zaraz podjęła opowieść.

- Chyba się domyślasz, że Tom rzucił się jak szalony na poszukiwanie najbliższych. W końcu znalazł je pod gruzami w tylnej części lokalu. Zwalił się na nie sufit. Obie nie żyły. - Alexa zamrugła, a mówiła tak cicho, że ledwo ją było słychać. - Nigdy się z tego koszmaru nie otrząsnął..

Diana patrzyła z przerażeniem na córkę, jej samej łzy zbierały się w kącikach oczu.

- Coś potwornego. Straszliwa tragedia. - Wstała, usiadła obok Alexandry na kanapie, przytuliła ją mocniej. - Och, kochanie, widzę, że ty go nadal kochasz.

- Tak? Sama nie wiem, mamo, chociaż mam świadomość, że dla Toma i dla mnie nie ma przyszłości. On nie założy rodziny. Ani ze mną, ani z nikim innym. Bo nie może zapomnieć tamtej.

- Albo sam blokuje taką możliwość - Diana sprostowała cicho.

- Pewnie masz rację. Ale po rozstaniu wiedziałam, że muszę żyć dalej. Nie mogłam się zadrećzać tęsknotą za Tomem. Bo nie czekała mnie z nim żadna przyszłość.

Diana pokiwała głową.

- A tak z ciekawości, ile on ma lat?

- Czterdzieści dwa.

Diana Gordon przyjrzała się uważnie córce, po czym zapytała:

- Czy ty w ogóle kochasz tego Jacka Wiltona?

- Owszem. Na swój sposób go kocham.

- Ale nie tak jak Toma? - drażyla matka.

- Nie.

- I mimo to mogłabyś sobie ułożyć życie z Jackiem?

Alexandra pokiwała głową.

- Oświadczył mi się.

- Wyjdiesz za niego? - spytała cicho Diana.

Alexa oparta się o matkę. Z oczu trysnęły jej łzy.

- Z początku tak sądziłam. Naprawdę się starałam. Ale teraz się waham. Od wczoraj, kiedy przyszło to zaproszenie, mam mętlik w głowie.

Diana odczekała chwilę, po czym skomentowała cicho, opanowanym głosem:

- No więc, powiem ci, co sądzi twoja kochająca, oddana ci spowiedniczka. Musisz zapomnieć o Tomie. Zresztą sama o tym wiesz, Alexo. On nie jest dla ciebie. Można się nigdy nie uporać z taką tragedią jak strata żony i dziecka, mimo że rozegrała się tyle lat temu. Skoro do tej pory się nie uporał...

- Trzy lata temu jeszcze tym żył, a teraz nie wiem.

- W takim razie nigdy się nie otrząśnie - dokończyła Diana surowym głosem. - Możesz sobie ułożyć wspaniałe życie z Jackiem. I chyba tak zrób. - Diana urwała, przytuliła mocniej córkę, po czym dodała nad jej głową okoloną burzą ciemnych lśniących włosów: - Bywają różne rodzaje miłości, wierz mi. Czasem się zdarza, że tej wielkiej miłości życia nie jest dane trwać wiecznie. I może dlatego właśnie zostaje w pamięci jako wielka, że... się skończyła. - Diana westchnęła, a po chwili powiedziała bardziej stanowczo: - Odradzam ci ten wyjazd do Paryża. Żeby cię nie korciło spotkanie z Tomem i otwieranie zabliznionych ran.

- Chyba masz rację, mamo. Tyle że Anyi będzie przykro, jeśli nie zjawię się na jej urodzinach.

Diana zastanowiła się, po czym zawołała:

- Mam pomysł! Wybierz się do Paryża z Jackiem. Nie przyjdzie ci do głowy szukać Toma, jeżeli będziesz z innym mężczyzną.

A założysz się, pomyślała Alexandra, ale na głos odrzekła:

- W zaproszeniu nie ma mowy o osobie towarzyszącej. Widnieje na nim tylko moje nazwisko.

- Chyba Anya ci nie odmówi... zwłaszcza jeżeli powiesz, że przyjechałaś do Paryża z... narzeczoną.

- Trudno wyczuć. Muszę przemyśleć twoje rady, mamo.

Zaproszenie stało oparte o kominkowy zegar. Natychmiast po przyjściu do domu Alexandra wzięła je znów do ręki.

W lewym dolnym rogu pod skrótem R.S.V.P. widniała data ostatecznego przyjęcia bądź odrzucenia zaproszenia: „1 kwietnia 2001”. A w przeciwległym prawym dolnym rogu: „Strój wieczorowy”, pod nim zaś: „Długa suknia”. Do zaproszenia dołączona była kartka z prośbą o odpowiedź R.S.V.P. i koperta.

Alexa miała więc czas na decyzję do końca marca. W głębi duszy aż się rwała do uhonorowania urodzin Anyi, kobiety niezwyklej, która wywarła tak przemożny wpływ na jej życie. Ale gnębiły ją myśli na temat Toma Connorsa, a także jej dawnych koleżanek - Jessiki, Kay i Marii. Pierwszego kwietnia, zadumała się. To swego rodzaju rocznica. Pierwszego kwietnia 1996 roku poznała Toma Connorsa. Ona miała wtedy dwadzieścia pięć lat, on trzydzieści siedem.

Prima aprilis, pomyślała z cierpkim uśmiechem. Tylko nie wiedziała, czy miałby dotyczyć jego, czy jej.

Odstawiła zaproszenie na kominek, uklękła przed paleniskiem, potarła zapałkę, podpałała papier i szczapy ułożone na kracie. Już po chwili ogień zabuzował, płomień skoczyły do komina.

Usiadła na kanapie, zapatrzyła się w ogień. W głowie kłębiło jej się od myśli, większość z nich dotyczyła Toma.

Przedstawił ich sobie Nicky Sedgwick, bratanek drugiego męża Anyi. Tom przyjechał do wytwórni w Billancourt na spotkanie ze swoim klientem Jackiem Durandem, producentem filmu w koprodukcji francusko-amerykańskiej, zakrojonej na wielką skalę i kosztownej. Nicky przygotowywał scenografię i za podszeptem Anyi zatrudnił Alexandre jako asystentkę. Niebawem stała się jego prawą ręką.

Film okazał się prawdziwym wyzwaniem. Był to dramat historyczny o Napoleonie i Józefinie. Nicky miał bzika na punkcie wierności realiom epoki. Zachwycił się sumiennością Alexy, dlatego zatrudnił ją potem przy większości swoich filmów i sztuk aż do jej wyjazdu z Paryża.

W dniu, w którym Tom Connors odwiedził studio, kręcenie szło świetnie. Dla zwieńczenia dnia owocnej pracy Jacques Durand i Tom zaprosili Nicky'ego Sedgwicka na kolację. Alexandre również.

Męska uroda Toma ją obezwładniła. Traktował ją nader szarmancko, toteż zadurzyła się w nim bez pamięci, zanim kolacja dobiegła końca. Wieczorem odwiózł Alexe do domu, ale jeszcze w samochodzie porwał ją w ramiona.

- Samoczynny zapłon - jak to określił, coup de foudre, grom z jasnego nieba, miłość od pierwszego wejrzenia.

Ale pod zewnętrznym nieodpartym urokiem krył się mężczyzna nader skomplikowany, przepełniony dotkliwym smutkiem. Nicky przestrzegął Alexe przed Tomem.

- Chyba ta jego mroczna byronowska melancholia pociąga kobiety - jak się kiedyś wyraził. - Ale ten facet dźwiga nie lada bagaż. Ciężki bagaż emocjonalny. Dlatego musisz uważać i dobrze się zabezpieczyć. Bo to groźny mężczyzna.

Alexa sięgnęła po pled wiszący na poręczy kanapy i nim się przykryła. Wróciła myślą do Toma i ich wspólnych dni w Paryżu. Mimo jego melancholii, straszliwych napadów przygnębienia, dobrze im było razem. Związek się skończył, kiedy zaczęła dążyć do stabilizacji. Upomniała się o małżeństwo. O dzieci.

Mimo iż Tom miał już czterdzieści dwa lata, czuła w głębi duszy, że się nie ożenił. Szkoda, pomyślała, i zamknęła oczy. Nagle zapragnęła zasnąć. Najchętniej wyrzuciłaby z pamięci... Toma i łączące ich uczucie. Nie pojedzie do Paryża. Nawet na urodziny Anyi.

## Rozdział drugi

Pamiętam, jak tańczyłam z nim tutaj, na środku sali, pod tym żyrandolem, pomyślała Kay Lenox. Wyciągnęła ręce, jak gdyby składając je na ramionach mężczyzny, zakreśliła się i zawirowała w takt staroświeckiego walca rozbrzmiewającego jej w głowie. Sunęła z wdziękiem i choć była zatopiona w myślach, na jej twarzy odmalowało się przez chwilę rapsodyczne uniesienie.

Opadły ją wspomnienia. Przypomniała sobie, jak mąż ją niegdyś adorował, a teraz żywe uczucia najwyraźniej w nim wygasły. Dawniej niezmiennie czujny i nadskakujący, teraz wydawał jej się rozkojarzony, może nawet nonszalancki. Na przykład zapominał ją zawiadomić, że zostanie dłużej w pracy albo że ma służbową kolację. Dzwonił w ostatniej chwili, niszcząc jej cały wieczór.

Kipiała wprawdzie z oburzenia, ale nie zająknęła się słowem. Zawsze była cierpliwa, oddana, wyrozumiała.

Nigdy nie przypuszczałyby, że taki mężczyzna jak Ian Andrews może się z nią ożenić. Ale się ożenił. Zawładnął nią i ledwie miesiąc od poznania byli już po ślubie. Zdumiona, nie oponowała. Zakochała się do szaleństwa, a ponadto odpowiadał jej szybki ślub. Bo tyle miała do ukrycia.

Czyjeś dyskretne chrząknięcie wyrwało ją z zadumy. Spojrzała na drzwi, stropiona, że przyłapano ją na solowym tańcu. Posłała speszony uśmiech Hazel, ich kucharcze w Lochcraigie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lady Andrews, ale chciałam spytać o kolację. - Kucharka się zawahała. - Czy lord będzie dziś na kolacji?

- Owszem, Hazel, będzie - potwierdziła Kay z pewnością w głosie. - Widziałaś jałospis na dzisiaj, który ci zostawiłam?



- Tak, lady Andrews.

Kucharka ukloniła się i znikła.

Ale czy rzeczywiście będzie, zastanowiła się Kay, podchodząc do okna. Powiodła spojrzeniem po trawnikach i drzewach ciągnących się ku górom spiętrzoną na horyzoncie pod błękitnym niebem. Po śniadaniu mąż zapowiedział, że wybiera się do Edynburga, żeby kupić prezent urodzinowy dla swojej siostry Fiony. Rzeczywiście, nazajutrz obchodziła urodziny i byli do niej zaproszeni na niedzielny obiad. Kay nie mogła się jednak nadziwić, dlaczego nie poprosił jej o pomoc, skoro trzy razy w tygodniu jeździła do miasta do swojej pracowni.

Odwróciła się od okna, ruszyła w stronę wielkiego kamiennego pałacu. Stała na terakocie, tyłem do ognia, i zadumała się, jak to ona, nad osobliwość tego pomieszczenia. Była to oranżeria urządzona w skrzydle domu, dobudowanym na życzenie praprababki Iana jeszcze w wiktoriańskich czasach. Przestronna i widna, swoją przytulność zawdzięczała kominkowi. Liczne okna i drzwi balkonowe, rośliny doniczkowe i wyplatane meble nadawały pomieszczeniu ogrodowy charakter, a nieliczne antyki wprowadzały aurę ciągłości, niezmienności.

Kay zagryzła wargę, pomyślała o Ianie. Dobrze wiedziała, skąd w nim ta zmiana, ten dystans, Ian pragnął dziecka, marzył o spadkobiercy tej rezydencji, w której rodzina Andrewsów spędziła pięćset lat. A Kay jak dotąd mu go nie dała.

To moja wina, szepnęła pod nosem, przypominając sobie straszny incydent z najwcześniejszej młodości w Glasgow. Przeszedł ją dreszcz, odwróciła się do kominka. Miedziane włosy zaśniły w migoczącym świetle. Usiadła w skórzanym fotelu, zapatrzyła się w płomień. Błękitne oczy osadzone w twarzy koloru kości słoniowej wyrażały zadumę. Kay Lennox Andrews zamyśliła się nad ohydą i upokorzeniem przeżycia z przeszłości.

Kiedy była nastolatką, chciała się za wszelką cenę wyrwać z Gorbals, dzielnicy biedoty w Glasgow, gdzie się urodziła. Na szczęście jej matce, Alice Smith, przyświecał ten sam cel. I to właśnie ona pchnęła ją w wielki świat.

- Chcę, żebyś miała lepsze życie ode mnie - powtarzała. - Masz urodę, rozum i niebywały talent. Nic cię nie powstrzyma... chyba że sama sobie zaszkodzisz. Więc wypruję sobie żyły, kochanie, żebyś się wspięła na szczyty, choćby miało mnie to zabić.

Matka knuła i planowała, spiskowała i ciułała, lecz w końcu całe jej poświęcenie przyniosło pożądany skutek. Kay jakby narodziła się po raz drugi - była oszałamiająco piękną młodą kobietą, mającą swój status,

dobrze wychowaną, wykształconą, wziętą projektantką mody, która w wieku dwudziestu dziewięciu lat wspięła się na szczyt. Miała swoje sklepy w Londynie, Nowym Jorku i Beverly Hills.

Nie osiągnęłabym tego wszystkiego bez mamy, pomyślała, wychodząc z oranżerii i kierując kroki do głównego holu. Był bardzo przestronny, miał katedralne sklepienie, strzeliste witrażowe okna i z obu stron schody z rzeźbionymi balustradami.

Wybrała lewe schody, prowadzące na piętro, gdzie mieściła się jej pracownia, niegdyś pokój dziecinny. Kiedy otworzyła drzwi i weszła do środka w ten rześki lutowy poranek, ucieszyła się, że Maude, ochmistrzyni prowadząca dom, zadbała o ogień, który buzował teraz wesoło na kominku. Chłodne, północne, tak uwielbiane przez nią światło wypełniało wysoki, widny pokój. W tym krystalicznym świetle kolory nie kłamały, co pomagało jej w projektowaniu.

Podeszła do stołu refektarzowego z epoki Jakuba I, który służył jej za biurko. Zadzwoił telefon, odebrała.

- Rezydencja Lochcraigie.
- Kay, to ja - przedstawiła się asystentka.
- Witaj, Sophie. Czy coś się stało?
- Dlatego że dzwonię w sobotę? Nie. Wszystko w jak najlepszym porządku. Przynajmniej u mnie.

Kay się uśmiechnęła. Wspaniale jej się pracowało z Sophie. Ta dwudziestotrzyletnia dziewczyna kipiała wprost entuzjazmem, pomysłami i zdolnościami.

Teraz Sophie ściszyła głos i powiedziała konfidencjonalnie:

- Dzwonię, bo wreszcie zdobyłam dla ciebie informację.
- Jaką informację?
- O tym człowieku, o którym ostatnio słyszała moja siostra... No wiesz, rozmawialiśmy o nim dwa tygodnie temu.
- A tak, pamiętam. Przepraszam cię, jakoś dzisiaj wolno kojarzę. Przycisnęła słuchawkę do ucha.
- Nazywa się Francois Boujon, mieszka we Francji, pod Paryżem. Teraz powiedz ci wszystko, czy zaczekasz do poniedziałku?
- Wystarczy w poniedziałek. Będę w pracowni około dziesiątej. Powiedz mi tylko jedno. Trudno się z nim umówić?
- Chyba trochę tak. Ale Gillian nam pomoże.
- Sophie, jestem ci niezmiernie wdzięczna. Dziękuję, że zadałaś sobie tyle trudu.
- Sprawilo mi to przyjemność. W takim razie do poniedziałku.
- Życzę miłego weekendu.

Kay pożegnała się i nagle przypomniała sobie list, który przyszedł poprzedniego dnia pocztą kurierską. Sięgnęła do kasetki na biurku. Uniosła wieczko, wzięła do ręki kopertę z pięknie wykaligrafowanym adresem, wyjęła zaproszenie.

Przeczytała ponownie. Przyjęcie Anyi zaplanowano na drugiego czerwca, dobre cztery miesiące naprzód. Ciekawe, czy w tym czasie zdoła załatwić spotkanie z doktorem Francois Boujonem.

Byłoby wspaniale, bo Ian nie został zaproszony, mogłaby więc sama pojechać do Paryża. Ale raptem wstrząsnął nią dreszcz. Z całą pewnością zjadą się dawne koleżanki i będzie musiała się z nimi zobaczyć. Nie tylko zobaczyć, lecz również spędzić czas w ich towarzystwie.

Alexandra Gordon, snobka z Nowego Jorku. Z najwyższych elit towarzyskich. Stale zadzierająca nosa, zadufana, mająca się za Bóg wie co.

Jessika Pierce, ucieleśnienie piękności Południa, z pełnym zestawem kobiecych westchnień i tęsknot. Wiecznie się z Kay naigrywała, raniąc ją niemiłosiernie.

Maria Franconi, kolejna snobka, tyle że z Włoch, kruczoczarna brunetka o lśniących czarnych oczach i ognistym śródziemnomorskim temperamentem, która wiecznie popisывała się znajomościami i pieniędzmi, a ją traktowała jak kuchnię.

Ależ paskudnie ją traktowały. Nie, powiedziała sobie w duchu, nie pojedzie na przyjęcie Anyi. Tyle że prędzej czy później musiała się wybrać do Paryża na spotkanie z Francois Boujonem.

Miała nadzieję, że uda jej się z nim umówić. Choćby ją to miało sporo kosztować.

Wsunęła zaproszenie do koperty, odłożyła do kasetki. Po czym usiadła głębiej w fotelu i rozmarzyła się na myśl o Ianie. Kochała go. Przecież to jej mąż... za wszelką cenę musi go utrzymać.

Jako dziecko Kay często zamykała się w świecie swojej wyobraźni. Kiedy doskwierała jej zagracona nora, w której mieszkała z mamą i bratem Sandym, kuliła się w kącie i zatapiała w marzeniach. Marzyła o pięknie: ogrodach pełnych kwiatów, malowniczych wiejskich chatach krytych słomianymi strzechami, bujnych kolorowych łąkach. Czasem marzyła też o wspaniałych sukienkach i wstążkach wplecionych we włosy, o eleganckich, nienagannie lśniących czarnych pantofelkach.

Z czasem te marzenia, wsparte ambicją, koncentracją oraz wyjątkowym talentem, pozwoliły jej odnieść wielki sukces w świecie mody.

Teraz, siadając za biurkiem, odsunęła na bok troski dotyczące małżeństwa i oddała się bez reszty pracy.

Przejrzała szkice do właśnie ukończonej jesiennej kolekcji, wstała, poszła do materiałów wiszących na mosiężnych hakach wzdłuż przeciwległej ściany. Jej uwagę przykuł kupon cynobrowej wełny. Zdjęła go, zniosła do okna, obejrzała dość uważnie. Był w wyzywającym odcieniu szminki do ust, co przywiodło jej na myśl olśniewające gwiazdy starych filmów z lat pięćdziesiątych.

Natchnienie przyszło natychmiast.

Oczyrna wyobraźni ujrzała zestaw strojów, każdy w innej soczystej odmianie cynobru. Najpierw przyszły jej na myśl cyklameny, potem intensywnie różowe peonie, blad różowy groszek pachnący, jaskrawy ogień doniczkowego geranium, a wszystkie te czerwienie zaprawione domieszką błękitu.

Pracowała mozolnie cały ranek w takim skupieniu, że omal nie wyskoczyła ze skóry na przenikliwy dzwonek telefonu.

- Lochcraigie - rzuciła ostro do słuchawki.

- Dzień dobry, kochanie - odpowiedział jej mąż. - Coś ty taka zła?

- Ian! - zawołała, a uśmiech rozpromienił jej twarz. - Przepraszam.

Ugrzęzłam do cna w sukniach, jeśli wybaczysz mi tę przenośnię.

Roześmiał się.

- Czyli praca idzie ci dobrze?

- Miałam mętlik w głowie, ale już się pozbierałam. Przygotowuję całą zimową kolekcję w różnych odcieniach czerwieni, od najbledszego różu po głęboki fiolet.

- Brzmi zachęcająco.

- Znalazłeś prezent dla Fiony?

Zawahał się chwilę, ale odpowiedział zwięźle:

-A... tak.

- Wracasz już do domu?

- Niezupełnie - odparł. - Trochę zgłodniałem, wyskoczę więc coś przegryźć. Powinienem wrócić koło czwartej.

Roziskrzzone niebieskie oczy Kay nieco przybladły, ale odpowiedziała mężnie:

- Będę czekała.

- Zjemy razem podwieczorek - obiecał. - Pa, kochanie.

Rozłączył się, zanim zdążyła skomentować. Popatrzyła na słuchawkę w dłoni i wróciła do pracy.

Na obiad zjadła kanapkę z wędzonym łososiem, wypila kubek herbaty cytrynowej. Następnie naciągnęła sweter w warkocze, grube wełniane skarpety i zielone kalosze. Z garderoby przy drzwiach kuchennych

wzięła ciemnozieloną kurtkę z pikowanego jedwabiu, wsunęła miedziane włosy pod czerwoną włóczkową czapkę, włożyła szalik i rękawiczki do kompletu, po czym wyszła na dwór.

Owionął ją podmuch lodowatego powietrza, ale ciepłe ubranie otulało szczelnie. Ruszyła nad jezioro. To była jej ulubiona trasa spacerowa na terenie posiadłości, która liczyła sobie ponad tysiąc dwieście hektarów. Szeroka alejka prowadziła przez gęsty las, który zaczynał się tuż za trawnikiem okalającym dom. W oddali migotała tafla Loch Craigie.

W pewnej chwili stanęła i zatopiła wzrok w odległych górach. Potem odwróciła się i spojrzała na wielki kamienny dom, w którym mieszkali, wzniesiony w roku 1559 przez Williama Andrewsa, pierwszego pana na Lochcraigie. Od czasu jego śmierci zawsze najstarszy syn prawem majoratu dziedziczył wszystko. Na szczęście w każdym pokoleniu trafiał się męski potomek. Od stuleci nic nie przerwało tej tradycji.

Oprócz wielkich obszarów ziemskich rodzina posiadała również aktywa w fabrykach, przemyśle wydawniczym i tekstylnym. Wszystko stanowiło teraz własność lana, który jak na milionera był człowiekiem skromnym i zadowalał się spokojnym wiejskim życiem. Zawsze zachodziła w głowę, jak by zareagował na wieść o jej nędznych, dotkniętych ubóstwem początkach.

Odsunęła jednak na bok te myśli i ponownie ruszyła przed siebie miarowym krokiem. Ołowiana tafla jeziora tchnęła niezmaconym spokojem pod zimowym niebem. Kay szła wzdłuż brzegu mniej więcej kwadrans, napawając się kojącym widokiem.

Na powrót wybrała brukowaną ścieżkę prowadzącą obok Domu Dower, w którym mieszkała Margaret Andrews, matka jej męża. Dochodziła czwarta, niebawem powinien wrócić Ian. Kay zaś wiązała z tym wieczorem pewne, niebagatelne plany.

Od razu kiedy Ian wszedł do oranżerii, poznała, że jest w wybornym humorze. Wkroczył z uśmiechem, a kiedy wyszła mu na spotkanie, przytulił ją i pocałował w policzek.

- Ślicznie wyglądasz - skomplementował uprzejmie żonę.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Ianie. Napijesz się herbaty?

Skinął głową.

- Wyjątkowo włókł mi się powrót do domu. Sądziłem, że spadnie śnieg, ale najwyraźniej się myliłem.

- No niezupełnie - sprostowała Kay, wskazując na drzwi balkonowe.

- Właśnie zaczął prószyć..

Spojrzał w tę samą stronę, zobaczył spadające ciężkie płaty śniegu.

- Może nas odciąć od świata.

Usiedli przed kominkiem, Kay nalała dwie filiżanki herbaty, spoglądając na niego ukradkiem.

Dzisiaj Ian wydał jej się weselszy. Dawno go takim nie widziała. I jakoś młodziej wyglądał, dosłownie jak chłopiec, może przez te włosy potargane przez wiatr.

- Oby nas nie zasypało - dodał. - Bo przykro byłoby nie dojechać jutro na urodzinowy obiad do Fiony.

Kay pokiwała głową.

- I co jej w końcu kupiłeś?

- Jak to co?

Kay spojrzała na niego w osłupieniu i aż prawie zawołała:

- No, jaki prezent kupiłeś Fionie na urodziny?

- A, na urodziny... Kolczyki. Pokażę ci później.

Zamilkli pojednawczo. Popijali w milczeniu herbatę, chrupiąc tartinki i babeczki przed buzującym ogniem. Kay czuła niewytłumaczalną treść, chociaż Ian wydawał jej się nad wyraz odprężony i swobodny, jak przed laty. Przyjęła to za dobrą wróżbę.

Wreszcie przerwała milczenie.

- Dostałam wczoraj zaproszenie... na osiemdziesiąte piąte urodziny Anyi Sedgwick.

- Mam nadzieję, że ja nie muszę jechać? - upewnił się Ian z marsmem na czole. - Wiesz, jak nie cierpię podróży.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała pośpiesznie. - Ja zresztą też się nie wybieram.

Ian spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Niby dlaczego?

- Bo nie chcę oglądać pewnych osób, których nie widziałam przez siedem lat. Po dyplomie kontakt nam się urwał.

- Przecież zawsze podziwiałaś Anyę.

- To prawda. Nie znam bardziej fascynującej kobiety.

- No, to dlaczego? - Podniósł rudawe brwi.

- Sama nie wiem...

- Moim zdaniem, powinnaś pojechać. Choćby dla okazania szacunku.

- Pewnie masz rację. Jeszcze się zastanowię.

Zanim dokończyli podwieczorek, śnieg otulił ziemię grubą warstwą i wciąż sypał. Na dworze zapadł zmrok, tylko w oranżerii panowało przytulne ciepło. Ogień huczał w wielkim kamiennym palenisku, bo Ian

wciąż podkładał szczapy i torf. Lampy na stole rzucały uroczy, migotliwy blask, rozlegały się ciche tony muzyki.

Oboje nie odzywali się przez jakiś czas, po czym Ian zmrużył oczy, wbił wzrok w Kay.

- Bardzo jesteś dziś cicha. Czy coś się stało?

Kay oderwała się od swoich myśli, potrząsnęła głową.

- Zamyśliłam się. Twoja mama kiedyś mi powiedziała, że cierpienie z miłości jest rzeczą szlachetną. Zgadzasz się z nią?

Ian odruchowo ściągnął brwi, ale nie potrafiła wyczytać z jego twarzy, co myśli naprawdę.

- Moja mama, podobnie jak ty, ma romantyczną duszę. Ale chyba się z tym nie zgadzam. Sam nie chciałbym cierpieć z miłości. Wolę się nią napawać, cieszyć.

- Ze mną?

Uniosła zadziornie czoło w miedzianej oprawie.

- Czy to zaproszenie? - spytał, przyglądając jej się badawczo.

Uśmiechnęła się kusząco.

Ian wstał, przemierzył pokój, wziął ją za ręce, podniósł z fotela. Zaprowadził pod kominek, pociągnął na dywan za sobą. Przejechał ręką po włosach, pobawił kosmykami.

- Przepiękne celtyckie złoto. Nie mogę się napatrzeć.

Zaczął rozpinąć białą jedwabną bluzkę, a jednocześnie obsypywał pocałunkami jej policzki, szyję, usta.

Ale Kay po chwili odepchnęła go.

- Przestań! Nie tutaj! Może wejść Maude albo Malcolm, żeby sprzątać po podwieczorku.

Roześmiał się bagatelizujące Wstał jednak i ruszył w kierunku drzwi prowadzących w głąb domu.

Ryzyko, pomyślała Kay. Uwielbia ryzyko. Nie powinnam go powstrzymywać, skoro ma ochotę się kochać. Powinnam dać się ponieść chwili. Usłyszała szcęk zamykanych na klucz drzwi, a potem echo jego kroków dudniących po posadzce, kiedy zbliżał się znów do niej.

Ukląkł na podłodze obok Kay. Ujął jej twarz w dłonie, pocałował delikatnie w usta.

- A drzwi balkonowe? - spytała.

- Nikt nie wytknie nosa na dwór w taką pogodę!

Zdjął z niej sweter i bluzkę, a teraz mocował się ze stanikiem. Pomogła mu rozpiąć, po czym oboje znów osunęli się na dywan. Pocałowała go żarliwie. Odwzajemnił się z nie mniejszą pasją, wstał, ściągnął z siebie sweter, potem koszulę, odrzucił je ze zniecierpliwieniem. Kay poszła

za jego przykładem. Niespełna minutę później oboje byli całkiem nadzy na dywan przed kominkiem.

- Pragnę cię - szepnęła mu do ucha i długimi, smukłymi palcami zwi-  
chrzyła włosy. - Weź mnie, proszę, weź.

W odpowiedzi ogarnął ją całym swoim ciałem. Pragnął jej nie mniej niż ona jego, ale chciał zarazem przedłużyć ten akt miłości. Dlatego całował ją bardzo wolno, niemal leniwie, zelektryzowany, kiedy rozchyłała usta pod naporem jego języka.

Kay zaczęła ocierać się o niego, trzymając go mocno w ramionach, a całe ciało aż pulsowało pożądaniem, jakiego nigdy przedtem u niej nie zauważył. Podniecony do granic wytrzymałości, czuł, jak wybucha całym sobą, nurzając się w jej ciepłe. Przyjęła go w najwyższym uniesieniu.

Sporo po północy Kay zwinęła się w fotelu przed kominkiem w ich sypialni, Ian smacznie spał. Słyszała jego cichy oddech. Obezwładnił ją jego żar. Poczowała przyływ nadziei, że mogli począć dziecko.

Kay pragnęła dziecka nie mniej niż mąż. Aczkolwiek Ian ani razu nie powiedział jej wprost, że marzy o synu. Po prostu wiedziała, jak bardzo pragnie mieć dziedzica.

A co będzie, jeśli nie urodzi mu dziecka? Czy Ian rozwiedzie się z nią i poszuka sobie innej kobiety, żeby spłodziła mu syna?

Kay wstała, podeszła do okna, zapatrzyła się w przestrzeń. Śnieg wciąż padał, a silny wiatr rozdmuchiwał kryształowe płatki, zanim osiadły na ziemi puchową bielą. W bladym świetle księżyca zdawało się, jakby ta naturalna pierzynka była przetykana srebrzystą nicią. Nagle wiatr załomotał w szyby, aż zadźwięczały, ale dom stał niewzruszenie tak jak od wieków. William Andrews zbudował prawdziwy zamek, który opierał się działaniu czasu i ostrym szkockim zimom.

Gdybym miała z kim porozmawiać, zadumała się Kay, przyciskając twarz do zimnej szyby. Nigdy nie poruszała tematu bezdzietności z Ianem w obawie, że mogłaby otworzyć puszkę Pandory, ani z teściową, z tych samych zresztą powodów. Gdyby mama żyła, pomyślała, i natychmiast ogarnęło ją silne wzruszenie. Właśnie mamie zawdzięczała wszystko, ale nie dane było Alice dożyć radości z oglądania owoców wieloletnich mrozolnych wysiłków. Brat Kay, Sandy, zniknął jej z oczu. Wyemigrował osiem lat temu do Australii i nawet się nie odezwał. Smutne.

Nie mam przyjaciół, w każdym razie żadnej bratniej duszy, pomyślała. I wtedy przypomniała jej się Alexa Gordon. Przecież bardzo się przyjaźniły, aż do czasu tej okropnej kłótni. Zwykle wypierała wspomnienia cudownych lat w szkole Anyi, ale kiedy z rzadka pozwalała sobie na



swobodną grę pamięci, opadały ją obrazy bliskich chwil spędzonych z Alexą i ogarniała ją tęsknota za tą Amerykanką. Chociaż nie za Włoszką Marią, która nieraz jej dokuczyła. Jessika zresztą też dała jej się we znaki. Wiecznie dogryzała, odnosiła się do niej z pogardą.

Westchnęła głęboko. Poczowała bezbrzeżny smutek. Na szczęście była jeszcze Anya Sedgwick. Anya zawsze okazywała jej serce, nie tylko jako nauczycielka, lecz niemal jak kochająca matka. Może powinna jednak wybrać się na to przyjęcie. Gdyby pojechała kilka dni wcześniej, mogłaby się spotkać z Anyą na osobności, powierzyć jej swoje obawy. Tylko dlaczego miałyby odkładać wyjazd do czerwca? Zaraz przypomniał jej się Francois Boujon. Kiedy już zaaranżuje z nim spotkanie, może umówić się na obiad albo podwieczorek z Anyą, która z pewnością chętnie ją zobaczy. Kay nie miała co do tego wątpliwości.

I wtedy podjęła śmiałą decyzję. Pojedzie jednak na przyjęcie urodzinowe Anyi. Z szacunku dla ukochanej nauczycielki, o którym przypominał jej Ian.

Zastanowiła się, jak trzy dawne przyjaciółki ją przyjmą. Została sławną projektantką mody. I chociaż rzadko używała szlacheckiego tytułu, mimo wszystko była teraz lady, żoną lorda Iana Andrewsa z Lochcraigie.

## Rozdział trzeci

Jessika Pierce czuła, że wzbiera w niej furia. Stała w eleganckiej pracowni, mieszczącej się w jej domu w Bel Air i patrzyła z góry na swojego chłopaka, Gary'ego Stennisa. Leżał rozwalony na poduszkach kremowej pluszowej kanapy, pijany na umór.

Szarymi, chłodnymi, zawsze bystrymi oczyma omiotła pokój. Wszędzie panował porządek poza antycznym chińskim stolikiem do kawy. Stał tam jeden z jej najpiękniejszych kryształowych kieliszków ze szkła bakaratowego, do połowy opróżniona butelka stolicznej i pusta butelka jej Chateau Simard Saint-Emilion rocznik 1988. Jedno z moich najlepszych win, pomyślała, kiedy jej wzrok spoczął na kryształowej wazie Lalique'a. Z błyskiem irytacji zobaczyła, że piętrzy się w niej stos niedopałków papierosów.

Bruzda gniewu przecięła czoło Jessiki, kiedy schyliła się nad stolikiem i przyjrzała kryształowemu kieliszkowi. Na brzegu widniały ślady szminki. Miała jednak pewność, że Gary odbył tu spotkanie służbowe. Na

podłódze obok żółtego notatnika z zapiskami naniesionymi jego ręką leżały porozrzucane arkusze jego nowego scenariusza.

Wyprostowała się i przyjrzała chłodnym okiem Gary'emu. Szpakowate włosy miał teraz zmierzwione, pociągłą twarz pobladłą, oczy podkrążone. Podczas snu wyglądał nadspodziewanie staro.

Jakiż on zniszczony, niemal zużyty, pomyślała ze smutkiem.

Gary nadal był genialnym scenarzystą, jednym z najlepszych w branży, mającym za sobą wspaniałą przeszłość. I Oscary. Kilka razy w życiu dochrapał się majątku, który potem stracił, ożenił się i rozwiódł z dwiema gwiazdami filmowymi, z jedną miał nawet córkę, ale ta nie utrzymywała z nim kontaktu. A teraz zalecał się do Jessiki i nakłaniał ją do małżeństwa. W chwilach trzeźwości.

Chociaż ostatnio nieczęsto mu się one zdarzały. Jessika błagała, żeby zapisał się do klubu AA, ale ją wyśmiał, twierdząc, że nie ma takiej potrzeby. Już dwukrotnie wyrzucała go z domu, za każdym razem jednak brał ją potem na wdzięk i wracał do jej życia.

To prawda, że w powszechnym odczuciu stanowił uosobienie uroku. Ponadto mistrzowsko panował nad słowem. W końcu zarabiał na tym grube miliony.

Jessika zabawiła pięć dni w Santa Barbara, gdzie doglądała urządzania nowego domu klienta, a Gary obiecał jej wieczorem kolację we dwoje, niezależnie od pory jej powrotu. Szalała z oburzenia, że zastała go tak pijanego, ale nie było rady. Musiał się wyspać.

Wróciła do okrągłego holu wejściowego ze szklistą czarną granitową podłogą i eleganckimi krętymi schodami, podniosła bagaże i ruszyła na górę. Kiedy wchodziła do garderoby, przejrzała się w jednym z czterech luster. Podeszła bliżej, odgarnęła długie blond włosy na ramię, poprawiła marynarkę. Zobaczyła wysoką trzydziestoletnią kobietę, o niezłej aparycji, w białym gabardynowym garniturze, na wysokich obcasach, ze sznurem pereł na szyi i perełkami w uszach. Chociaż akurat dzisiaj widać po mnie zmęczenie, westchnęła, po czym zeszła na dół.

Jej torebka leżała na ławie w stylu Ludwika XIV w holu wejściowym. Sięgnęła po nią i skierowała się do gabinetu. Zapaliła światło, podeszła do osiemnastowiecznego francuskiego sekretarzyka pod oknem.

Jej wzrok natychmiast padł na kopertę poczty kurierskiej FedEx.

Długo wpatrywała się w zaproszenie, zatopiona w myślach, które przeniosły ją w przeszłość.

Była młodziutka, miała dopiero dwadzieścia jeden lat. Szkoła Rzemiosł Artystycznych Anyi Sedgwick utorowała jej drogę do kariery, bo

tam właśnie nauczyła się projektowania wnętrz. Wysoka, szczupła jak modelka Teksanka z prowincji, trafiła pierwszy raz do Europy. Wszystko ją tu urzekało: Paryż, szkoła, Anya i mały pensjonacik na Lewym Brzegu, gdzie zamieszkała. Wszystko wydawało się nowe i frapujące, zgołą inne niż w San Antonio.

Właśnie w Paryżu poznała Luciena Girarda i po raz pierwszy w życiu się zakochała. Pod koniec pierwszego roku jej pobytu przedstawił ich sobie Nicky Sedgwick. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata, Lucien był o cztery lata starszy. Był aktorem.

Stworzyli dobraną parę. Lubili te same filmy, książki, muzykę, sztuki plastyczne. Aż trudno uwierzyć, jak wiele ich łączyło. Spędzali razem mnóstwo cudownych chwil, przepięknych niezapomnianych dni, pełnych spokoju, i namiętnych nocy.

Jadała z nim małże w pysznym aromatycznym rosole, omlety puszyste jak obłoczki, pachnące wiejskie sery i poziomki roztaczające niepowtarzalny zapach, które smakowały najlepiej z gęstą wiejską śmietaną. Przy nim wszystko wydawało się cudowne.

Nazywał ją swoją laskonogą amerykańską pięknnością, kochał ją i uwielbiał, podobnie jak ona jego. Snuli mnóstwo planów...

Lecz pewnego dnia Lucien zniknął. Zapadł się pod ziemię.

Jessika, z pomocą jego przyjaciela, Alaina Bonnala, usiłowała go odnaleźć. Mieszkanie pozostawił nietknięte, nic z niego nie wziął. Był sierotą. Nie znali jego rodziny. Sprawdzili wszystkie szpitale, potem kostnice, zgłosili jego zaginięcie. Wszystko na próżno. Zaginaj bez wieści.

Nagle Jessika zerwała się i podbiegła do przepastnej francuskiej szafy w drugim końcu gabinetu. Otworzyła dolną szufladę, wyciągnęła czerwony, oprawny w skórę album z fotografiami. Podeszła do biurka, usiadła, otworzyła, zaczęła go przeglądać.

Jak stworzeni dla siebie, Lucien i ja, pomyślała, patrząc na wspólne zdjęcie nad Sekwaną. Uderzyło ją łączące ich podobieństwo. Lucien też był wysoki i szczupły, miał jasne włosy i niebieskoszare oczy. Miłość mojego życia, pomyślała i przewróciła kartę.

A tutaj one: Alexa, Kay i Maria w towarzystwie Anyi, w jej ogrodzie. I błazeńskie zdjęcie Nicky'ego, który wygłupia się z Alexą, a Maria przygląda się markotnie z tyłu. Jessikę ogarnął niewymowny smutek. Po zniknięciu Luciena wszystko jej się w życiu posypało. Grono koleżanek powaśniło się i rozpadło. A wszystko przez... zupełne głupstwo.

Jessika zamknęła album. Jeżeli wybierze się na przyjęcie Anyi, spotka dawne koleżanki. No i Paryż kojarzył jej się z Lucieniem. Który przestał istnieć.

Przyjmij zaproszenie. Jedź do Paryża, powiedziała sobie. Po czym zmieniła zdanie. Nie, odmów. Bo tylko otworzysz zabliznione rany.

Jessika przymknęła oczy. Tak, lepiej nie tykać wspomnień. Wyśle za-  
wiadomienie z przeprosinami.

Wtem z progu jej gabinetu odezwał się głos Gary'ego:

- Czyli zdecydowałaś się wreszcie wrócić.

Zdumiona Jessika obróciła się z fotelem, spojrzała na niego. Opierał się o futrynę drzwi, miał wymięte ubranie i mętne spojrzenie.

Rozzłoszczony pijak, pomyślała, ale na głos powiedziała co innego:

- Wyglądasz, jakby cię ktoś wyprał i powiesił bez wyżymania.

Skrzywił się, nie znosił jej rzeczowego teksańskiego humoru.

- Dlaczego tak późno wróciłaś? - zapytał.

- Co za różnica? I tak pijany w dym zwałiłeś się na kanapę.

Westchnął głęboko i wtoczył się do pokoju, stanął przy jej fotelu, uśmiechnął się do niej.

- Mieliśmy co czcić. Harry i Phil oszaleli z zachwytu, kiedy przedstawiłem im mój pierwszy szkic. Po kilku poprawkach uznali, że scenariusz jest gotowy do kręcenia. No więc, postanowiliśmy to uczcić...

- Tylko trochę przesadziliście, tak?

- Nie. Po prostu późno wróciłaś.

- Dziewiąta to wcale nie tak późno.

- Dlaczego się tyle spóźniłaś? Mark Sylvester cię zatrzymał?

Przekrzywił głowę, spojrzał na nią zaczepnie.

- Przestań się ośmieszać! Nie lubię takich insynuacji. Nawet go tam nie było. Spóźniłam się, bo utknęłam w korku na drodze z Santa Barbara. A co u Giny?

-U Giny?

Gary zmarszczył brwi, po czym usiadł na kanapie.

- Tylko mi nie mów, że jej tu dziś nie było, bo wyczułam zapach jej perfum. Zawsze uczestniczy w prezentacji twoich scenariuszy, wypija mi najlepsze wino i zostawia ślady szminki na kieliszku. Bo chyba Harry nie zaczął nagle używać szminki, co?

- Jessiko, daruj sobie ten sarkazm. Nie pojmuję, dlaczego tak się jej czepiasz. Gina jest moją asystentką od lat.

I partnerką do łóżka, kiedy ci przyjdzie ochota, pomyślała, ale na głos powiedziała:

- Nie urodziłam się wczoraj, Gary. Umiem odróżnić ziarno od plew.

Gary zerwał się na równe nogi, spurpurowiał na twarzy. Wyglądał, jak-  
by zaraz szlag miał go trafić.

- Widzę, co cię dręczy, moja droga. Ale nie mam zamiaru nadal służyć ci za chłopca do bicia, skarbeczku. Wracam do siebie. Jutro zabiorę swoje rzeczy. Trzymaj się, mała.

Jessika patrzyła za nim beznamietnie. Nagle zrozumiała, jak ma dosyć jego wykorzystywania. I wykorzystywania jej domu.

Wyszedł wielkim krokiem, trzaskając drzwiami. Po chwili usłyszała huk drzwi wejściowych i pisk opon, kiedy ruszył spod domu na złamanie karku.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie z całą ostrością, że ten człowiek w ogóle jej nie obchodzi.

Znów otworzyła czerwony, oprawny w skórę album, zaczęła przewracać karty, oglądając zdjęcia z Paryża sprzed trzech lat. Ależ my wszyscy byliśmy młodzi, pomyślała. Młodzi, niewinni, całe życie przed nami. Jak mało wówczas troszczyliśmy się o przyszłość... o własny los.

- Lucien - szepnęła, głaszcząc palcem twarz na fotografii. - Co się z tobą stało, kochany?

Ale odpowiedź nie nadeszła.

W odczuciu Jessiki Pierce ocean nigdy nie wyglądał piękniej. Granatowa tafla Pacyfiku mieniła się złościście w promieniach popołudniowego słońca, oślepiając swym bezkresem ciągnącym się po horyzont. Był poniedziałek, Jessika siedziała w zabytkowej altanie, którą przetransportowała tu z arystokratycznej posiadłości w Anglii. Teraz stała na samym krańcu posesji Marka Sylvestra w Santa Barbara.

Mark ją uwielbiał, podobnie zresztą jak cały swój nowy dom. Przechwalała, że pochwali jej pomysł, a mimo to z ulgą przyjęła jego zachwyt. Miał się tu wprowadzić w przyszły weekend, dzisiaj zaś pokazała mu wnętrze jego domu po raz pierwszy, odkąd przywieziono meble.

Wolnym krokiem ruszyła ku domowi przez piękne ogrody. Na tarasie otworzyła drzwi balkonowe prowadzące do biblioteki i stanęła oko w oko z Markiem.

- Gdzieś ty mi znikła? - spytał z zaciekawieniem.

- Tak cię pochłonał służbowy telefon, że wolałam ci nie przeszkadzać. Przeszłam się do altany i posiedziałam tam chwilę, patrząc na ocean.

- Bo to rzeczywiście przepiękny widok. - Przyglądał jej się przez chwilę, zanim spytał: - Od rana masz zatroskaną minę, Jessiko. Chciałabyś porozmawiać?

- Niekoniecznie - mruknęła.

- Chyba za wiele sobie pozwalał przy tobie, i teraz... - Mark urwał, patrzył tylko na nią, dziwnie posmutniałym wzrokiem.

Jej oczy szeroko otwały się ze zdziwienia.

- Przepraszam, Jessiko. Nie powinienem się wtrącać. To nie moja sprawa.

- Oj, dobrze, już dobrze - zbagatelizowała i uśmiechnęła się, siadając na niebieskiej kanapie obitej lnem. - Wytrzeszczam tak oczy, bo dokładnie to samo pomyślałam wczoraj. Ale moje drogi z Garym się rozjeżdżają i nic nie wskazuje na poprawę.

- No tak, osvajanie dzikich zwierząt - podsunął Mark. Podszedł do barku wbudowanego w końcu biblioteki. - Napijesz się czegoś?

- Najchętniej soku żurawinowego. - Roześmiała się. - Wiem, że tam jest. Bo w sobotę wstawiłam butelkę do lodówki.

Pokiwał głową, nalał im picie, zastanawiając się, dlaczego Jessika w ogóle zadawała się z Garym Stennisem. Zaslugiwała na kogoś znacznie bardziej wartościowego.

Idąc w jej stronę, nie mógł wyjść z podziwu, jaka z niej atrakcyjna kobieta. Dziś wyglądała szczególnie kusząco w lawendowym kostiumie z krótką spódnicą i na wysokich obcasach. Zawsze podziwiał jej długie, jedwabiste nogi.

- Dziękuję, Mark - powiedziała, kiedy postawił przed nią szklanekę z sokiem na szklanym stoliku do kawy.

Wrócił do barku po piwo imbirowe, nie przestając o niej myśleć. Jessika Pierce należała do grona jego najsympatyczniejszych znajomych. Wrócił z piwem, usiadł naprzeciwko niej, uniósł szklanekę.

- Twoje zdrowie, Jessiko. I dziękuję za przepiękne urządzenie domu. Jesteś istną... czarodziejką.

Uśmiechnęła się, oczy rozbłysły jej radością.

- Dzięki, Mark. I dziękuję za zaufanie, za to, że dałeś mi wolną rękę.

- Budzisz we mnie lęk. Boję się twojej wiedzy, gustu, powściągliwości, sprytu, stylu. Jesteś... piorunującą mieszanką.

Roześmiała się na to nieoczekiwane określenie.

-I co teraz zamierzasz, Jessiko?

- Mam przemeblować kilka rezydencji w Beverly Hills...

- Chodzi mi o to, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem... i z Garym Stennisem.

Jessika westchnęła.

- Wszystko skończone, Mark. Rzecz w tym, żeby się pomału z tego wywinąć.

- Znam Gary'ego od lat. Zawsze niszczył sam siebie. Może ci być trudno. Najlepiej skończ z nim raz na zawsze. Dobrze ci radzę, nabierz powietrza i skacz.

- Pewnie masz rację. Takie podchody niczemu nie służą. Na dłuższą metę mogą tylko zwiększyć cierpienie.

- Żebyś wiedziała, Jess.

Pokiwała głową i żeby zmienić temat, dodała:

- Właśnie dostałam zaproszenie na przyjęcie w Paryżu. Anya Sedgwick, moja była nauczycielka, obchodzi osiemdziesiąte piąte urodziny.

Oczy mu rozbłyły.

- Brzmi cudownie.

Uśmiechnęła się słabo.

- Ale to zaproszenie wyzwoliło wspomnienia sprzed siedmiu lat.

A jednocześnie otworzyło stare rany, bo chyba tak je muszę nazwać.

Tamten okres wywarł na mnie trwale piętno.

Nieoczekiwanie łzy napłynęły jej do oczu.

Mark wyciągnął do niej rękę.

- Ejże, łzy? Och, kochana, zatem chodzi o mężczyznę.

I przyjrzał jej się pytająco.

Jessika pokiwała głową.

- Chcesz o tym porozmawiać? Chętnie cię wysłucham.

- Przypomniała mi się dawna, cudowna miłość - odparta z westchnieniem. - Snuliśmy tyle planów. Po czym wszystko się skończyło, jak nożem uciął.

- Wnosząc z twojego tonu, chyba to on z tobą zerwał.

- Nie zerwał. Zniknął. Po prostu rozplynał się w powietrzu. Nigdy go już więcej nie spotkałam.

I bardzo powoli, dobierając słowa, opowiedziała Markowi o Lucienie Girardzie, o ich poznaniu, związku, próbach poszukiwań.

Kiedy skończyła, Mark skomentował z zadumą:

- Czyli istnieją dwie możliwości. Albo go zamordowano i ukryto starannie ciało, albo zniknął świadomie.

- Niby w jakim celu? - zawołała.

- Każdy, kto znika, ma swoje powody, Jess. Opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Zwłaszcza o jego zapowiedzi, że musi wyjechać na kilka dni.

Oparła się o poduchy ze słynnej manufaktury w Aubusson.

- Przy kolacji powiedział, że wybiera się na kilka dni do Monte Carlo, żeby nakręcić reklamę - przypomniała. - Snuliśmy plany na następny tydzień.

- Dzwonił do ciebie z Monte Carlo?

Jessika potrząsnęła głową.

- Najpierw nie czekałam na telefon, bo wiedziałam, że będzie zajęty. Ale po tygodniu milczenia zaczęłam się niepokoić. Zadzwoiłam do

niego do domu. Nikt nie odbierał. Porozumiałam się z jego przyjacielem, Alainem Bonnalem. Pojechaliśmy razem do kamienicy, w której Lucien mieszkał, przepytaliśmy konsjerżkę. Twierdziła, że nie wrócił. Podobno widziała, jak wychodził z walizką.

-I potem słuch o nim zaginaj? - spytał cicho Mark.

- No właśnie. Alain i ja wybraliśmy się do jego agenta, który był nie mniej zdziwiony od nas.

- Przedziwna historia. I policja nigdy nie wpadła na jego trop?

- Nie. Żadnych śladów nie znaleźliśmy też w szpitalach ani w kostnicy. Alain sprawdzał jeszcze wiele razy po moim wyjeździe z Paryża i powrocie do Ameryki. Ale bez skutku.

Mark rozsiadł się wygodniej i po chwili spytał ostrożnie:

- Czy umiałabyś podać jakikolwiek powód, dla którego miałbyś zaaranżować własne zniknięcie?

- Żadnego. To w ogóle nie w jego stylu. Był człowiekiem honoru, nie słychanie prawym.

Zamyślił się, po czym spytał:

- Odwiedzałaś Paryż od tamtej pory?

Jessika potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czy wybiorę się na to przyjęcie. Paryż nie wiąże się dla mnie z miłymi wspomnieniami.

- Mam pomysł - podsunął. - A może zgodziłabyś się, żebym ci towarzyszył w czerwcu? Żebym cię trzymał za rękę?

Tak ją ta propozycja zdumiała, że na chwilę odebrało jej mowę.

W końcu jednak odezwała się.

- Żeby mi dodać otuchy?

- Możesz to tak nazwać.

Wzruszona jego wielkodusznością, umilkła. Wprawdzie uważała Marka za przyjaciela, bo już kilka razy urządzała mu domy i biura, zdążyli się przez ten czas zżyć. A mimo to osłupiała na wieść o tym, że byłby gotów swoją obecnością ułatwić jej wizytę w Paryżu.

- Naprawdę bardzo ci jestem wdzięczna za ten piękny gest. - Westchnienie wyrwało jej się z piersi. - Uwielbiam Anyę Sedgwick. To naprawdę niezwykła kobieta i wywarta nieoceniony wpływ na moje życie, ale trochę się nadal waham.

Potrząsnęła parę razy głową, spojrzała na niego bezradnie.

- Czasem osoba towarzysząca bardzo ułatwia podróż - dodał kusząco.

- No cóż, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji w sprawie tego przyjęcia. Zaproszenie przyszło dopiero w sobotę wieczorem. Ale na pewno ciebie pierwszego zawiadomię.



Mark serdecznie się do niej uśmiechnął. To prawda, darzył ją wielką sympatią. Mimo to pytał teraz sam siebie w duchu, dlaczego tak nagle jej się narzuca. Tą propozycją zaskoczył nawet siebie.

Jessika zastanawiała się dokładnie nad tym samym. I nad tym, czy ma odwagę wybrać się do Paryża i stawić czoło tamtej przeszłości. Jeszcze nie wiedziała.

## Rozdział czwarty

Życie Marii Franconi odmieniło się z dnia na dzień jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Od kilku dni stąpała niemal nad ziemią. Od lat nie czuła się tak podniecona, przepełniało ją poczucie oczekiwania.

Wszystko zaczęło się w ostatni piątek, kiedy wróciła po przerwie obiadowej do swojego gabinetu. Na biurku znalazła białą kopertę z pięknie wykaligrafowanym swoim nazwiskiem. Wyjęła kartonik, przeczytała z przejęciem tekst. Bardzo jej pochlebilo zaproszenie na urodzinowe przyjęcie Anyi. Potraktowała je jak wielki zaszczyt!

Anya Sedgwick była kimś szczególnym w życiu Marii. To ona wzięła młodą dziewczynę pod swoje skrzydła, zachęcając i udzielając wsparcia początkom jej kariery. Była jednocześnie matką, mistrzynią i przyjaciółką. Kiedy zaczęła chodzić do szkoły Anyi, zaprzyjaźniła się z wieloma osobami, ale szczególnie więź połączyła ją z trzema dziewczętami... aż do czasu ich słynnej kłótni.

Miała nadzieję teraz je spotkać, nie mogła się już doczekać, niezależnie od tego, czy one też miały ochotę. Po siedmiu latach chyba wszelka niechęć im minęła? Maria wzruszyła ramionami. W końcu nie można być niczego pewnym, ludzie miewają przecież swoje dziwactwa.

Maria Pia Francesca Theresa Franconi, nazywana po prostu Marią przez rodzinę i przyjaciół, miała wielką ochotę wybrać się do Paryża na urodziny Anyi. W ogóle się nad tym nie zastanawiała. Paryż był jej ulubionym miastem. Kusił ją również pomysł oderwania się od nudnej pracy w rodzinnej firmie, która w ogóle jej nie interesowała, a także od nudnego życia osobistego.

Miała nadzieję na coś więcej niż tylko weekendowy wypad do Paryża na jubileusz znajomej. Zaplanowała urlop na czerwiec, toteż mogłaby zostać w Paryżu tydzień lub dwa. A może nawet trzy. Trzy tygodnie w Paryżu. Na samą myśl, aż jej dech zaparto.

Teraz, w czwartek wieczór, już prawie tydzień po otrzymaniu zaproszenia Maria nadal nie posiadała się z radości. Nie mogła się doczekać, aż opowie bratu Fabriziowi o przyjęciu i planowanej podróży do Francji. Zaprosiła go na obiad. Zwykle wpadał do niej w czwartki, jeśli tylko był w Mediolanie.

Fabrizio wyjechał z miasta na dwa tygodnie, ponieważ odwiedzał klientów w Wiedniu, Monachium i Londynie. Był dyrektorem do spraw marketingu w ich firmie, Franconi i Synowie, producenci wykwinnych materiałów tekstylnych od roku 1870.

Maria kręciła się jak fryga po swojej nowoczesnej kuchni, urządzonej w aluminium i szkłe, i sprawdzała makaron domowej roboty, mieszała sos boloński z mięsem. Podeszła do lodówki, wyjęła mozzarellę i pomidory, zabrała się do krojenia. Ułożyła na dwóch talerzach, posypała bazylią, spryskała po wierzchu oliwą.

Krząając się, wyrzała przez okno. Urzekło ją piękne atramentowo-czarne niebo usiane kryształowymi gwiazdami, wśród których pyszniła się okrągła tarcza księżyca. Po ażurowych koronkach szronu na szybie poznała, że chwycił mróz.

Maria nie mogła się już doczekać Fabrizia. Po pierwsze, kochała go najbardziej z całej rodziny, a ponadto był jej sprzymierzeńcem w firmie, gdyż widział, podobnie jak ona, konieczność unowocześnienia produkcji. Ojciec nie dzielił ich zdania.

Po ukończeniu szkoły Anyi w Paryżu Maria została u Franconich jedną z głównych projektantek. Fabrizio zawsze piał z zachwyty nad jej materiałami. Ona jednak żywiła w głębi duszy obawy, że wpada w rutynę.

Z rezygnacją westchnęła, ale zaraz odsunęła od siebie czarne myśli, skupiła się na bracie. Fabrizio uwielbiał jej kuchnię, a poza tym zawsze świetnie się razem czuli. On również nie ułożył sobie jeszcze życia, toteż wiecznie był nagabywany przez matkę i babki, ze strony Franconich i Rudolfów, które nie mogły się już doczekać słodkich bambini, wskakujących im na kolana. Wszystkie starsze krewne ustawicznie wytykały im obojgu, że uchybiają familijnym obowiązkom.

Ich starszy brat Sergio, dziedzic rodziny, zdążył się już ożenić i rozwieść, ale nie miał dzieci. Najwyraźniej nie liczył się w tej grze.

Prawdziwym ulubieńcem, a zarazem najprzystojniejszym młodzieńcem w rodzinie, był Fabrizio. Wysoki, niebieskooki blondyn, był modelem przedstawiicielem Franconich, ona bowiem i Sergio, oboje bruneci, bardziej się wdali w rodzinę Rudolfów. Fabrizio był najbardziej przedsiębiorczy, najinteligentniejszy i najbardziej pracowity. Bez najmniejszego wysiłku podbijał serca wszystkich. Był prawdziwym gwiaz-

dorem, czego mu ani trochę nie zazdrościła. Kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Dziesięć minut później Fabrizio stał oparty o futrynę kuchennych drzwi i popijając wytrawne białe wino, przyglądał się siostrze kończącej gotować.

Opowiadał o swoim wyjeździe. Maria odwróciła się do niego rozpromieniona, kiedy poinformował ją, że odrobina współczesności i ekstrawagancji, której dodała do ich słynnej kolekcji renesansowej, mocno dźwignęła firmę.

- Dostajemy mnóstwo powtórnych zamówień, Mario - wyjaśnił.

- Dlatego piję za ciebie, żabciu. Dzięki, że zaprojektowałaś linię, która odniosła tak niebywały sukces.

Uniosła kielich wina, stuknęła się z nim.

- Dzięki, Fab. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę minę taty.

- Ja też. Ale słuchaj dalej. Klienci naprawdę wychwalali cię pod niebiosami. Oświadczyłem, że w przyszłym sezonie pokażę im zupełnie nową linię. Odcinającą się od dotychczasowego wzornictwa firmy.

- Naprawdę?

Świdrowała go ciemnymi oczami.

- Jak najbardziej. Teraz liczę na to, Mario, że przygotujesz kolekcję podpisaną tylko i wyłącznie twoim nazwiskiem.

- Co za wyzwanie! Spróbuję. - Urwała. - Fabrizio?

- Tak? - Popatrzył na nią uważnie, bo usłyszał nową nutę w jej głosie.

- Wyraźnie jesteś czymś podekscytowana.

- Nie mylisz się. Tydzień temu dostałam zaproszenie na obchody osiemdziesiątych piątych urodzin Anyi w Paryżu.

Fabrizio nieco zeszytniał, chociaż nie dał tego po sobie poznać. I nie tracąc rezonu, zapytał, niby to od niechcenia:

- Kiedy Anya urzęduje przyjęcie?

- Na początku czerwca.

- Rozumiem...

Zamilkł.

- Oczywiście się wybieram. Za nic w świecie nie przegapiłabym tej okazji. Zresztą już wysłałam potwierdzenie. Mam zamiar zabawić tam kilka tygodni.

Brat spochmurniał.

- Aż kilka tygodni? Dlaczego tak długo?

- Bo kocham Paryż. Chciałabym tam spędzić urlop.

- Przecież latem zawsze jeździmy całą rodziną na Capri.

- W tym roku postanowiłam się wyłamać.
- Nie spodoba im się.
- Trudno. Mam dwadzieścia dziewięć lat, niebawem trzydziestka na karku. Chyba mogę dla odmiany wyrwać się dokądś sama, prawda?
- Ależ oczywiście. Jesteś dorosła. - Uśmiechnął się serdecznie, ugryzł się w język. Po kolacji będzie jej musiał odradzić wyjazd do Paryża. Aż wzdrygnął się na samą tę myśl.

Maria przyglądała się bratu ukradkiem, zadowolona, że smakuje mu jej kuchnia. Sama też zjadła trochę spaghetti w sosie bolonskim, jedno ze swoich popisowych dań. Odłożyła widelec, sięgnęła po kieliszek czerwonego wina.

Pociągnęła kilka łyków, po czym powiedziała:

- Wiesz, dużo lepiej się już czuję. Minęła mi depresja. Chyba tak mnie uskrzydla perspektywa wyjazdu do Paryża.

Właśnie czegoś takiego Fabrizio Franconi obawiał się najbardziej. Przełknął jeszcze kilka kęsów, zanim odsunął talerz.

- Pycha! Nie znam lepszej mistrzyni kuchni od ciebie.

- Tylko mnie tak nie chwal przy żadnej z naszych babek - przestrzegła go z uśmiechem. Po czym wstała i wyniosła talerze do kuchni.

- Może ci pomóc? - zawołał za nią.

- Nie, nie. - Po chwili wróciła z paterą pełną ciasteczek. - Deseru nie robiłam, bo nigdy nie jesz. Ale zaparzyłam kawę. Napijesz się?

Potrząsnął głową.

- Nie, dzięki. Delektuję się winem. - I zaraz dodał cicho. - Szkoda, że przyjąłeś to zaproszenie, Mario. Chyba nie przemyślałeś wszystkiego.

- Jak to? - spytała ze zdumieniem.

Milczał, wpatrując się w wino. Następnie podniósł wzrok i wycedził:

- Nie możesz jechać do Paryża, bo...

Ale głos mu uwiązł w gardle.

Nie odrywała od niego wzroku. A on od niej.

Patrzył na jedną z najpiękniejszych twarzy, jakie widział w życiu. Twarz Najświętszej Marii Panny godną pędzla wielkiego artysty. Wielkie, uduchowione oczy, czarne jak obsydian, burza gęstych, lśniących, kruczo-czarnych włosów opadających na ramiona, idealny owal twarzy, przy każdym uśmiechu dołączki na policzkach.

Spiorunowała go wzrokiem, dopytując się rozedrganym głosem:

- Odradzasz mi wyjazd, bo jestem taka... zażywna. O to ci chodzi?

- Nie powstrzymam cię, jeżeli tak strasznie ci zależy. W końcu, cytując twoją przyjaciółkę Jessikę, którą sama zawsze cytujesz, „jesteś

wolna, biała i pełnoletnia". Ale ona między innymi stanowi powód, dla którego ci odradzam, Mario. Jessika. A poza nią Alexandra i Kay. Trzy bardzo dobre powody, dla których nie powinnaś jechać do Paryża. Żywna to mało powiedziane, po prostu się roztyłaś. Wiem, że będziesz się czuła niezręcznie w gronie dawnych koleżanek. Bo one z pewnością są równie smukłe jak wtedy.

- Skąd wiesz? - zawołała i przymknęła oczy. Brat miał rację. Olśnia wszystkich, a ona na ich tle poczuje się jak wielorybica wyrzucona na mieliznę. Mimo to rwała się do tego wyjazdu, nie mogła znieść myśli o odrzuceniu zaproszenia. Powiedziała więc czupurnie bratu:

- A ja i tak pojedę. Nie przejmuję się tym, co sobie pomyślą.

Fabrizio wstał, podszedł do kanapy i powiedział:

- Chodź, usiądź obok mnie. Pogadajmy o tym, siostruniu.

Kiedy usiadła przy nim, wziął ją za rękę, spojrzał jej czule w oczy.

- Skoro tak ci zależy, mam pewien sposób. Ale nie będzie łatwo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przede wszystkim, porozmawiajmy o twojej miłości do gotowania.

Samo hobby jest bardzo przyjemne, ale wiem, że uciekasz tym samym od swoich frustracji. Znajdujesz pociechę w jedzeniu, Mario.

Nie odezwała się.

Fabrizio ciągnął swoje.

- Jeżeli naprawdę wybierasz się do Paryża, spróbuj najpierw schudnąć.

Masz trzy miesiące. Lepszy wygląd zapewni ci lepsze samopoczucie.

- Dieta na mnie nie działa - wybąkała.

- Zadziała, jeżeli zaczniesz jej przestrzegać - odparował, mierząc ją surowo wzrokiem.

- Naprawdę wierzysz, że mi się uda, Fab? - spytała, bo raptem wzięła w niej nadzieja.

- Naprawdę. Jutro zabiorę cię do dietetyczki. Lekarka ustawi ci odpowiednią dietę. A potem zapiszesz się do mojej siłowni i zaczniesz codziennie ćwiczyć.

Po wyjściu Fabrizia Maria stanęła przed dużym lustrem. Po raz pierwszy od lat przyjrzała się sobie w całej okazałości. Brat miał rację. Owszem, jestem gruba, przyznała w duchu. I nie tylko gruba. Bardzo gruba. Zamrugła kilka razy, żeby rozgonić łzy, po czym odwróciła się od lustra z obrzydzeniem. Sięgnęła po jedwabny peniuar, prędko go włożyła i rzuciła się na łóżko, wtulając twarz w poduszkę. Płakała tak długo, aż zabrakło jej łez. Udręczona, leżała bez ruchu, bijąc się z myślami. Marzyła o wyjeździe na przyjęcie urodzinowe Anyi,

ale na przeszkodzie stały jej kłopoty z tuszą. Co robić? Co robić? - ponawiała raz po raz pytanie.

Fabrizio miał rację. Powinna spożytkować najbliższe miesiące na odchudzenie się, ale bała się bardzo porażki, a także trudów ćwiczeń i uciążliwej diety.

Nagle przypomniał jej się Riccardo. Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy usunęli Riccarda Martinellogo z jej życia. Ależ ona go kochała! On ją zresztą też. Ale jej rodzice uznali go za niestosowną partię i udaremniili ich związek. Riccardo wyjechał cztery lata temu i właśnie wtedy się roztyła. Dogadzała sobie, bo straciła biednego Riccarda i czuła się straszliwie samotna.

Zależało jej tylko i wyłącznie na ucieczce.

Chciała uciec na zawsze z Mediolanu. Od rodziny. Od pracy.

Ale nie da się uciec od siebie, zmitygowała się teraz. Wstała, odgarnęła włosy z twarzy. Masz wielkie, tłuste cielsko i sama ponosisz za to odpowiedzialność. Przemyślała sprawę gruntownie, po czym podciągnęła się na poduszki. Po chwili wstała z łóżka i usiadła przy weneckiej toalecie z lustrem. Przyjrzała się sobie dokładnie.

Z lustra spoglądała na nią piękna twarz. Gdyby tylko dało się odrzucić to okropne ciało. Poradzisz sobie, zapewniła się w duchu. Potrafisz schudnąć. Masz teraz wielką motywację. Wybierasz się do Paryża na spotkanie z Anyą, możesz wskrzesić dawną przyjaźń z Jessiką, Alexandrą i Kay. A może nawet tak zeszczuplejesz, że zdobędziesz się na spotkanie z Riccardem. Wiedziała, gdzie on mieszka. I wiedziała, że się nie ożenił.

Może dawny kochanek tak samo tęsknił za nią jak ona za nim.

## Rozdział piąty

Anya Sedgwick nie posiadała się ze zdziwienia. Aż oparła się mocniej o kanapę i wbiła wzrok w siedzącego naprzeciw gościa. W jej oczach malowało się wyraźne zdziwienie.

Oparta wygodnie na ręcznie hartowanych poduszkach, ściągnęła brwi i spytała:

- Ale dlaczego podjąłeś tak raptownie decyzję? - Pokręciła głową.

- To do ciebie niepodobne...

Głos uwiązał jej w gardle. Nie odrywała oczu od przystojnej twarzy młodzieńca.

Nicholas Sedgwick odchrząknął kilka razy.

- Anyu, proszę cię, tylko się na mnie nie gniewaj.

- Nicky, na litość boską, przecież się nie gniewam.

Lubiła go najbardziej z całej rodziny i chociaż nie był jej dzieckiem, a nawet właściwie żadnym krewnym, traktowała go jak syna. Uważała za kogoś wyjątkowego.

- No dobrze - wróciła do tematu. - Skoro wydajesz dla mnie przyjęcie urodzinowe i rozesłałeś już zaproszenia, czyli nie bardzo możesz je odwołać, to może raczysz mi coś o nim powiedzieć. Zamieniam się w słuch.

- Chciałem wyprawić ci wyjątkowe urodziny, Anyu - odparł przejęty.

- Wiem, jak lubisz Ledoyen, dlatego zarezerwowałem całą restaurację na ten wieczór. Najpierw będą koktajle, potem kolacja i tańce. A także kilka niespodzianek.

- Znając cię, podejrzewam, że masz ich w zanadrzu sporo.

Skinał głową. Odetchnął z ulgą, że przyjęła to tak dobrodusznie.

- Chciałem ci urządzić osiemdziesiąte piąte urodziny w taki sposób, żebyś spędziła je w gronie wszystkich bliskich, kochających cię osób.

- Przyniosłeś może listę zaproszonych?

- Owszem. - Uśmiechnął się niepewnie i dodał: - Przepraszam za wścibstwo. Musiałem wycygnąć od Laury adresy z twoich dawnych notesów. - I nie czekając na jej komentarz, dodał: - Proszę, oto lista.

Wyciągnął kartkę z kieszeni, usiadł obok Anyi na kanapie.

Po obiedzie, kiedy Nicky wreszcie wyszedł, Anya wróciła do saloniku na górze. Było to jej ulubione pomieszczenie w domu, do którego sprowadziła się ponad pół wieku temu. Tu przyjmowała rodzinę i przyjaciół, odpoczywała, czytała.

I, co nie mniej ważne, tutaj najchętniej pracowała, wśród ukochanych książek i przedmiotów gromadzonych przez lata. W jednym kącie stało ogromne antyczne biurko zavalone stosem papierów. Stanowiło niezbity dowód, że całe życie poświęciła zdyscyplinowanej, wyteżonej pracy.

Teraz podeszła żwawo do okna, zapatrzyła się na dziedziniec na dole, myśląc, jak ponuro wygląda ogród w zimne lutowe popołudnie.

Szkielety drzew rysowały się ostro na tle błyszczącego paryskiego nieba, a mokre kamienne kostki podwórka lśniły srebrzyście po niedawnej ulewie. Nad wszystkim górowała pośrodku przepiękna stara wiśnia. Nagie gałęzie rzucały na ziemię wymyślne ażurowe cienie.

Trudno było uwierzyć, że za miesiąc czy dwa ten szary ogród rozkwitnie soczystą zielenią, obrośnięty po bokach paprociami, upstrzony

różowymi kwiatami wiśni i drobnymi niecierpkami rosnącymi wokół trawnika. Wtedy też płot okalający z jednej strony dziedziniec załśni świeżą białą farbą. Co roku, odkąd sięgała pamięcią, wiosna przynosiła tu taką przemianę.

Teraz Anya spojrzała na wysoki kremowy mur, który odgradzał od świata dom i ogród. Zawsze urzekał ją ten ogród, oryginalny dziedziniec i malowniczy dom z czarno-białą fasadą, w połowie szalowany drewnem. Zupełnie, jakby go ktoś wyrwał z korzeniami w Normandii i przeflancował tutaj, do Paryża, rzut kamieniem od gwanego Bulwaru Inwalidów, tuż za rogiem od rue de l'Universite, na której mieściła się słynna szkoła Anyi.

Przyjechała tu z Michele Lacoste, wielką miłością jej młodości, a jednocześnie pierwszym mężem, ojcem jej dwojga dzieci, Dimitriego i Oli. Ten dom należał niegdyś do jego matki, a po jej śmierci do Michela. Po śmierci męża przeszedł na jej własność.

Stanowczo za młodo umarł, westchnęła, odwracając się od okna.

Ostatnio nachodziło ją tyle wspomnień. Może to zwykły objaw starzenia się. Ale nie mogła zanurzyć się bez reszty w przeszłości. Nicholas Sedgwick, jej miody kuzyn ze strony drugiego męża, Hugh Sedgwicka, zmusił ją do spojrzenia w przyszłość. Bo na drugiego czerwca zaplanował wielką fetę.

Zasiadła przy biurku przed kominkiem i skupiła się na liście gości przygotowanej przez Nicky'ego. Zatwierdziła grono zaproszonych przez niego krewnych i przyjaciół, a także jej byłych uczennic. Tych wzorowych, najbardziej uzdolnionych. Szczególną przyjemność sprawił jej, zapraszając cztery utalentowane dziewczęta z rocznika 1994. Jessikę Pierce, Kay Lenox, Marię Franconi i Alexandre Gordon. Lubiła zwłaszcza Alexandre. Uważała ją za swoją pupilkę.

Anya usiadła wygodniej w fotelu i zamyśliła się nad Alexandra oraz jej związkiem z tym nieborakiem Tomem Connersem. Z pewnością zadziało przeznaczenie, może nawet fatum.

Zastanowiła się nad własnym życiem i rolą przeznaczenia. Była pewna, że po takim, a nie innym życiu musiała dojść do punktu, w którym się teraz znajdowała. Kierując się sercem i marzeniami, puszczała wodze swoim możliwościom twórczym, wierzyła w siebie jako kobietę i artystkę. Żyła pełnią życia, nigdy niczego nie żałowała, może jedynie tego, na co zabrakło jej czasu.

Anya Kossikovskiy urodziła się w Sankt Petersburgu w roku 1916, niemalże w przeddzień rewolucji październikowej, która zmusiła jej



rodziców do ucieczki z kraju. Kiedy dorosła na tyle, żeby to zrozumieć, ojciec, księżę Walentin, wszystko jej opowiedział.

Jej rodzice należeli do najwyższych sfer w carskiej Rosji. Ojciec pochodził z prastarego bojarskiego rodu, którego fortuna w XIX wieku obejmowała rozległe włości na Krymie, fabryki w Moskwie, a także interesy ulokowane za granicą. Matka, Natasza, była córką księcia Ilji Die-wienarskowo, również człowieka majątnego.

Kiedy Anya się urodziła, ojciec właśnie dorobił się reputacji artysty obdarzonego wybitnym talentem. Po piętnastu latach od wyjazdu Walentina z Rosji obwołano go jednym z największych malarzy rosyjskich XX wieku, wymienianym na równi z takimi nazwiskami, jak Kandinsky, Chagall, Rodczenko, Ender i Popowa.

Jednakże w roku 1918, kiedy zamordowano brutalnie cara wraz z całą rodziną, Walentin przestał myśleć o sławie, a zaczął o ucieczce. Od dawna wyczuwał, że nadciąga rewolucja, toteż wcześniej poczynił stosowne plany finansowe. Wiele osób pociągnęło za wiele sznurków, i tak Walentin, Natasza oraz ich maleńka córka Anya w styczniu 1919 roku opuścili Rosję. Po kilku tygodniach spędzonych w Norwegii wsiedli na angielski statek handlowy i ruszyli do Szkocji.

Tam czekała już na nich starsza siostra Walentina, Olga, która wyszła za bogatego bankiera angielskiego. Pierwsze wspomnienia Anyi z dzieciństwa pochodziły z pięknej rezydencji ciotki w Kent, zwanej Haverlea Chase. Po pół roku pobytu w hrabstwie Kent Walentin i Natasza znaleźli niewielką kamieniczkę w Chelsea z przeszkloną oranżerią w ogrodzie. Nadawała się idealnie na pracownię malarską Walentina.

W tym uroczym starym domu Anya wychowywała się w otoczeniu sprzętów, które matka wywiozła z Rosji - codziennie parzono herbatę w antycznym srebrnym samowarze, a na stole w salonie stał zbiór ikon wpasowanych między fotografie rodzinne oprawne w ramki od Faberge.

Anya jadała rosyjskie potrawy, uczyła się historii Rosji od ojca, a języka od obojga rodziców, którzy między sobą mówili wyłącznie po rosyjsku. Odebrała zatem wychowanie rosyjskiej arystokratki, która równie dobrze mogłaby dorastać w Sankt Petersburgu. Tyle że była jednocześnie angielską dziewczyną, nabierającą nawyków rówieśniczek z przybranego kraju.

- Jestem osobliwą mieszanką - oznajmiła Michelowi Lacoste, kiedy poznała go w Paryżu. - Ale duszę mam z całą pewnością rosyjską.

Deszcz nie ostudził dobrego nastroju Nicholasa Sedgwicka. Gdy młody człowiek minął Bulwar Inwalidów, kierując się na rue de l'Uni-

versite, potraktował tę nagłą ulewę jak przelotny kwietniowy deszcz, który lada chwila ustanie. I tak się też stało, zanim zdążył domyśleć swoją prognozę do końca.

Zamknął parasol, przewiesił go sobie przez ramię i żwawo ruszył dalej. Właśnie ukończył szkice scenografii do nowego filmu, który miano kręcić w wytwórni w Billancourt i w Dolinie Loary. Jego projekty przypadły do gustu zarówno producentowi, jak i reżyserowi.

Pomyślał, że nic tak jak sukces nie wpływa na dobry humor człowieka. Zaraz jednak jakiś cień przesunął mu się po twarzy i osiadł w niebieskozielonych oczach. Chociaż w życiu zawodowym wspiał się na szczyty, to w osobistym szczęście mu raczej nie dopisywało.

Małżeństwo z Constance Aykroyd, angielską aktorką teatralną, dobiegło końca. Wprawdzie dokładał starań, ale z upływem miesięcy coraz bardziej oddalali się od siebie. Teraz pragnął możliwie jak najkulturalniej zakończyć ten związek.

Westchnął, błogosławiąc los, że nie mają dzieci. Czyli po rozstaniu wyjdzie z tego związku z czystą kartą. A ma zaledwie trzydzieści osiem lat. Może zacząć od nowa.

W połowie rue de l'Universite doszedł do wielkiej bramy prowadzącej na dziedziniec szkoły Anyi, gdzie prowadził dwa kursy tygodniowo - projektowanie scenografii i projektowanie wnętrz. W tym roku odkrył kilka talentów wśród uczniów, nieodmiennie zadziwiających go swoimi pracami. Wszedł bocznymi drzwiami. Kiedy je zamknął i spojrzał w głąb korytarza, zastanowił się nad historią tej placówki.

Na początku była to skromna szkoła sztuki prowadzona przez teściową Anyi, Catherine Lacoste. Należała jej się chwała za to, że nie zamknęła szkoły podczas wojny i lat niemieckiej okupacji, a po jej zakończeniu doprowadziła placówkę do rozkwitu. Catherine wiedziała, że nie zdoła kierować nią sama - obezwładniał ją postępujący artretyzm - poprosiła więc o pomoc młodą synową.

Anya odkryła w sobie talent pedagogiczny i zdolności organizacyjne. A co ważniejsze, potrafiła wybiec myślą naprzód. Główny profil szkoły wyznaczały zajęcia z malarstwa i rzeźby, ale w 1951 roku, po śmierci Catherine, Anya wprowadziła nowe przedmioty: projektowanie mody i materiałoznawstwo, a także scenografię. Ich popularność zadziwiła zarówno ją, jak Michela.

I wtedy, w roku 1955, wydarzyła się tragedia.

Michel, w wieku czterdziestu pięciu lat, umarł na rozległy zawał serca. Nieutulona w żalu Anya sama podjęła się trudu prowadzenia szkoły.

Była to winna świętej pamięci Catherine, poza tym miała na utrzymaniu dwoje małych dzieci.

Trzy lata po śmierci męża Anya poznała Hugh Sedgwicka, stryja Nicholasa, angielskiego biznesmena mieszkającego w Paryżu, i poprosiła go o pomoc w prowadzeniu księgowości szkoły. Po roku wzięli ślub, i wtedy zaczął się kolejny etap w dziejach szkoły. Po raz pierwszy zaczęła przynosić duże zyski.

W połowie lat sześćdziesiątych Szkoła Rzemiosł Artystycznych Anyi Sedgwick stała się kosztowną, bardzo renomowaną placówką, Anya zaś legendą swoich czasów.

## Rozdział szósty

Siedzieli razem w Jardin d'Hiver - ogrodzie zimowym - niedawno odrestaurowanego hotelu Meurice, na rue de Rivoli naprzeciwko ogrodów Tuileries.

Palmy w donicach i egzotyczne rośliny nadawały temu pomieszczeniu charakter uroczego, przytulnego ogrodu. Wieńczył go przeszklony dach w kształcie kopuły zdobionej ażurową metaloplastyką. Mleczne matowe szkło, przez które sączyło się naturalne światło dnia, rozaczało aurę wyjątkowej subtelności.

- Na ten szklany dach trafiono dopiero podczas rozbiórki hotelu - powiedziała ni stąd, ni zowąd Anya i spojrzała na sufit, a potem na Nicky'ego. - Przez wiele lat pozostawał ukryty pod warstwą tynku. Nikt nie miał pojęcia, że kopuła jest wykonana ze szkła. Wyszło to na jaw dopiero kilka lat temu w czasie ostatniego remontu.

- Coś niesłychanego! Żeby szkło przetrwało w takim stanie - zawołał Nicky, podążając za jej spojrzeniem. - Niemożliwe, żeby to była oryginalna kopuła!

- Masz rację. Musiano oszklić kopułę na nowo, lecz architekci trzymali się wiernie pierwowzoru. Chyba przyznasz, że jest piękna? Zawsze miałam słabość do secesji.

Nicky pokiwał głową i przyjrzał się bacznie ciotce.

- A skąd wiesz o tym dachu?

Anya uśmiechnęła się figlarnie.

- Przyjaźnię się z jednym z dyrektorów.

Nicky roześmiał się i pokiwał głową.

- No tak, powinienem był się domyślić, że masz wiadomości z pierwszej ręki.

Podniósł filiżankę do ust, popił herbatę i podniósł wzrok na Anyę, myśląc, jak pięknie wygląda. Starsza dama miała na sobie dobrze skrojony błękitny kostium z wełny i ukochane perty z Morza Południowego, które stały się niejako jej znakiem firmowym. Łagodnie falujące ciemno-blond włosy, jak zawsze elegancko ułożone, i rozpromieniona twarz, dzięki której wyglądała o dwadzieścia lat młodziej niż w rzeczywistości.

Przerywając jego zadumę, spytała:

- Nicky, dużo osób przyjęło zaproszenie na moje przyjęcie?

- Owszem, dość dużo. W tym tygodniu spodziewam się jeszcze dalszych potwierdzeń.

- A Alexa? Odezwała się już?

- Nie, ale lada dzień na pewno się odezwie.

- Nie wiadomo, czy przyjedzie. Nie była w Paryżu, odkąd zerwała z Tomem Connersem. - Anya urwała, spojrzała wymownie na kuzyna.

- Odnoszę wrażenie, że właśnie z jego powodu unika Francji, a zwłaszcza Paryża.

Nicky westchnął.

- Zawsze ją przestrzegałem. Tom dzwiga zbyt duży bagaż emocjonalny. Żadna kobieta temu nie podoła.

- Może dał już radę część tego bagażu zrzucić?

Anya uniosła brew i przyjrzała mu się badawczo.

- Może, ale pewności nie ma... - Urwał. - Tom jest nad wyraz skryty.

- Widujesz go? - spytała.

- Nie widziałem go od roku. Albo i dłużej. - Zmrużył oczy. - A dlaczego pytasz?

- Tak bym chciała, żeby Alexa pokazała się na przyjęciu. Ciekawa byłam, czy Tom wyjechał z Paryża.

- Wątpię. - Nicky wyprostował się. Miał zatroskaną minę. - Tu się urodził. I tu jest jego miejsce.

- Ludzie przechodzą na emeryturę, przeprowadzają się, wynoszą z Paryża do Prowansji.

- Wierz mi, że to nie w Toma stylu. Ale wiesz, odezwała się ta sympatyczna Włoszka, która chodziła z Alexa do jednej klasy. Maria Franco. Jako jedna z pierwszych przyjęła zaproszenie.

Anya uśmiechnęła się radośnie.

- Och, jak się cieszę! Bo to przeurocza dziewczyna. I ma wielki talent, oby go nie zmarnowała.

- Jak to? - spytał Nicky, marszcząc brwi.

- Stać ją na większy rozmach niż tylko projektowanie materiałów dla swojej przykurzonej firmy rodzinnej, w której uwięzła. -I nie dając kuzynowi dojść do słowa, mówiła dalej. - Kay Lenox na pewno przyjedzie, ale Jessika raczej nie. Nie przypuszczam, by zechciała się tu zjawić i rozgrzebywać dawne rany.

- Chodzi ci o zniknięcie Luciena?

- Owszem. Nie widziałam nikogo tak boleśnie przetraconego. Kipiała wprost życiem, przeżywając szaloną miłość, po czym... jak nożem uciął, straszliwe cierpienie. - Pokiwała głową. - Każda śmierć kryje w sobie ostateczność, ale żeby ukochany dosłownie zapadł się pod ziemię? Nie wiadomo, jak się z tym uporać.

- Bo sprawa nie jest zamknięta... - odpowiedział Nicky.

- Otóż to. Nie ma ciała. Nie ma pogrzebu. Ból nigdy nie przemija, gdyż nie wiadomo, co się stało z ukochanym.

Przez chwilę Nicky nie odpowiadał. Rzeczywiście cała historia była nader dziwna. W końcu zapytał:

- Wiesz, jak się potoczyło dalej życie Jessiki? Wyszła za męża? Odzywa się do ciebie?

- O tak. Czasem pisuje albo przysyła wycinki z „Przeglądu Architektonicznego”, kiedy pismo zamieści zdjęcie zaprojektowanego przez nią budynku. Nie wyszła za męża. Mieszka w Bel Air, dużo projektuje dla elit towarzyskich.

-A Alexa?

- Och, z nią jestem w stałym kontakcie. Pisze listy albo karty, przysyła zdjęcia, wydzwania. Zawsze była mi oddana.

- A ja się chyba zawsze w niej podkochiwałem. - Wziął Anyę za rękę. -I chyba dotąd mi nie minęło. Wiesz dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Bo Alexandra Gordon bardzo jest do ciebie podobna, Anyu. Jakby odlana z tej samej matrycy. A może wzorowała się na tobie? Tak czy owak, widzę w niej wiele z twoich uzdolnień.

- Potwierdzam. Sądzę, że masz rację.

Zapadło dłuższe milczenie. W końcu Anya przerwała je głosem pełnym zadumy.

- Spójrz, Nicky, jakie życie jest dziwne. Siedzimy sobie spokojnie w Meurice przy podwieczorku. A zaledwie sześćdziesiąt lat temu hitlerowcy zajmowali ten hotel. Wiesz, jaki budzili wtedy strach, jaką nienawiść? I raptem koniec, wszystko znów wraca do normy.

- Stryj Hugh mawiał, że jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana. -I kto wie, czy nie miał racji.

## Rozdział siódmy

Anya przekonała Alexę do przyjazdu. Zatem Paryż wiosną. A dokładnie w piątek rano jedenastego maja. Trzy tygodnie przed przyjęciem urodzinowym zaplanowanym na drugiego czerwca. Z dużym wyprzedzeniem. Ale miała bogate plany.

Chciała poświęcić trochę czasu wyłącznie Anyi, marzyły jej się duże zakupy, a ponieważ zgodziła się pracować z Nickym przy nowym filmie, musiała też odbyć kilka spotkań z nim. Ponadto uknuła pewien plan.

Tom Connors.

Postanowiła zdybać smoka w jego jaskini.

Wybiła jedenasta. Alexe bardzo kusiło, żeby zadzwonić natychmiast. Ale nie czuła się jeszcze gotowa. Wzięła więc torbę, wyszła z apartamentu, ruszyła do windy.

Po chwili kroczyła po marmurowej posadzce eleganckiego holu w hotelu Meurice, który poleciała jej Anya. Przeszła przez obrotowe drzwi, zeszła schodami, przystanęła na chwilę przed hotelem.

Przepęłniała ją świadomość, że znajduje się w swoim ulubionym mieście. Gdyby skręciła w lewo, dotarłaby do Luwru. Skręciwszy w prawo, poszłaby rue de Rivoli, oglądając po drodze witryny sklepów, aż do placu Zgody, a dalej na Pola Elizejskie, u których wylotu pysznił się Łuk Triumfalny.

Decyzję podjęła w jednej chwili. Ruszyła w stronę Luwru. Co za wspaniały dzień. Paryż lśnił pod pięknie nasłonecznionym niebem. Z ogródka pobliskiej kafejki doleciał ją kuszący aromat świeżo palonej kawy. Usiadła przy stoliku.

- *Cafeau lait, s'il vousplait*- zamówiła, kiedy stanął przed nią uśmiechnięty kelner.

- *Mais oui* - skłonił się i odszedł.

Usiadła na metalowym krzeselku, myśląc, jak cudownie się tu czuje i jaka była głupia, że przez tyle lat omijała to miasto.

Po krótkiej chwili kelner wrócił. Postawił przed nią dzbanek kawy i dzbanuszek parującego gorącego mleka.

- *Voila, mademoiselle!* - powiedział i odszedł po resztę zestawu.

- *Merci* - podziękowała z uśmiechem, kiedy postawił na stoliku koszyk świeżych croissantów, talerzyk z masłem śmietankowym i spodeczek dzemu malinowego. Nalała kawy do dużej filiżanki, dodała pienistego mleka. Pierwszy łyk smakował bosko. Spojrzała na koszyk. Tam,

do licha! - pomyślała, wzięła croissanta, przełamała go, posmarowała masłem i nałożyła obfitą porcję dżemu. Rogalik dosłownie rozpływał się w ustach. Natychmiast przywołał wspomnienie podobnych śniadań ze studenckich czasów.

Cudowny to był okres, pełen oczekiwań. Wszystko roztaczało się przed nią. A potem los zaczął jej płać figle.

Chciała to teraz naprawić.

Była tak olśniewająca, że odwracały się za nią wszystkie głowy. Obdarzona wzrostem ponad metr siedemdziesiąt, poruszała się z królewską godnością.

Najbardziej jednak przyciągała uwagę jej twarz, pięknie zarysowane łuki czarnych brwi nad ciemnymi dużymi, szeroko rozstawionymi oczami, a także zmysłowe usta. Gęstwina kruczoczarnych włosów spływała na plecy poniżej łopatek.

Ubrana była z niewyszukaną elegancją. Miała na sobie czarny gabardynowy garnitur, koszulę z białego jedwabiu i czarne sandały na wysokich obcasach. Na ramieniu czarną skórzaną torbę, a w drugiej ręce parę ciemnych okularów. Jej biżuteria zdradzała ten sam dyskretny szyk. Trudno by się było dopatrzeć krztyny ostentacyjności w zegarku na lewej ręce, w złotej bransoletce na drugiej czy w małych brylancikach w uszach.

Tego ranka przechadzała się niespiesznie cichymi korytarzami Luwru. Miała dużo czasu do obiadu w Ritzu na Place Vendome.

Była w pełni świadoma poruszenia wywoływanego wśród przechodniów. Jeszcze trzy miesiące wcześniej Maria Franconi nie uwierzyłaby w coś podobnego, ale przez ten czas przeszła niesłychane przeobrażenie. W niecałe trzy miesiące schudła prawie dwadzieścia dwa kilo. Wymagało to od niej niehumanitarnego wysiłku.

Jej drakońska dyscyplina polegała na męczących ćwiczeniach oraz diecie całkowicie pozbawionej tłuszczów, cukru i węglowodanów. Musiała też unikać wina oraz wszelkich innych trunków.

Jakiś czas przed wyjazdem do Paryża odwiedziła znanego mediołańskiego projektanta mody, który uszył dla niej kilka kostiumów ze spodniami i prosto skrojonych sukienek, mających uwydatnić jej zalety i zatuszować niższe partie ciała. Sekret krył się w wydłużonych zakładkach, sięgających nieco poniżej bioder, pozbawionych guzików, w zwężanych nogawkach spodni, a także ołówkowych wąskich spódnicach. Ciemne kolory, najczęściej czerń oraz różne odcienie szarości, sprzyjały temu kamuflażowi, a także pasowały do włosów i cery.

Nawet teraz, w Paryżu, nie zrezygnowała ze swojego reżimu. W hotelu codziennie chodziła na basen, pływała, uprawiała gimnastykę, ćwiczyła na sztucznej bieżni. Przestrzegła też ścisłej diety, mimo kuszącego francuskiego jedzenia.

Od przyjazdu tutaj trzeciego maja nie miała wolnej chwili. Złożyła wizytę swojej ukochanej Anyi, zrobiła zakupy, przeszła się po różnych galeriach sztuki, zwiedziła Wersal. Delektowała się każdą chwilą z dala od pracy i dominującej rodziny.

Uciekłam, pomyślała teraz, zbliżając się do obrazu, który stanowił cel jej wizyty. Gdyby tak nie musiała wracać, gdyby mogła zostać w Paryżu na zawsze. Lecz zaraz odsunęła od siebie takie myśli, bo nie chciała się zagłębiać w mroczne rozważania.

Ten obraz był nieporównywalny z żadnym innym dziełem sztuki. Maria długo przed nim stała, kontemplując go jak w transie. Zwykle tak na nią działał... odurzająco.

Mona Lisa. Namalowana setki lat temu przez Leonarda da Vinci, największego artystę wszech czasów, z wyjątkiem -jej zdaniem - Michała Anioła. Żeby móc tak malować, pomyślała, i aż westchnęła cicho. Podeszła bliżej, chcąc się przyjrzeć obrazowi.

W tej samej chwili zobaczyła kobietę zmierzającą w jej kierunku. Zamarła, ale obejrzała się jeszcze, żeby zyskać pewność, czy wzrok jej nie myli, po czym szybko odwróciła głowę do obrazu.

Jeszcze jeden rzut oka na da Vinciego i - czmychnęła w przeciwnym kierunku.

Zajął miejsce przy stoliku w „LEspadon” naprzeciwko drzwi. Zobaczył ją zaraz po wejściu. Odsunął krzesło i wstał, na długo zanim podeszła. Przywitał ją serdecznym uśmiechem. Kiedy stanęła, ujął niemal zaborczym gestem jej rękę, pocałował w policzek, przyjrzał się bacznie.

Maria uśmiechnęła się, usiadła.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniłaś się. Zresztą gdyby nawet, warto by mi było czekać.

Pięknie wyglądasz, Mario.

- Dziękuję - szepnęła i opuściła nieco głowę.

- Zamówiłem już dla ciebie sok grapefruitowy - powiedział. - Mam nadzieję, że trafiłem.

- Doskonale. Dziękuję.

Uniósł kieliszek wina i powiedział:

- *Sante*.

- *Sante*- odpowiedziała, trącając delikatnie kieliszkiem o kieliszek.



Zjawił się główny kelner z ich kartami, na chwilę zatopili się w lekturze. On już wiedział, co zamówi, domyślał się, że i ona już wie. Ponieważ zwykle przestrzegał, podobnie jak ona, surowej diety, przeważnie wybierali to samo. Poprzedniego wieczoru zdobyła się na intymne zwierzenia i powiedziała mu o swojej diecie i programie ćwiczeń. Wysłuchał jej uważnie. Ujęła go swoją szczerością.

Często ją teraz widywał i nadal nie miał dosyć. Wiedział jednak, że musi się mieć na baczności.

- Peszysz mnie tym przyglądaniem się.

- Przepraszam - zmitygował się. - Ale nic na to nie poradzę. Masz taką .. uduchowioną twarz. Bo nie znam lepszego określenia.

Maria roześmiała się, potrząsając głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Tego określenia używam wyłącznie w odniesieniu do Mony Lisy. Bo ona ma naprawdę piękną twarz.

- Owszem, ale ciebie też powinien namalować wielki mistrz, współczesny da Vinci.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podszedł do nich kelner. Zamówiła ostrygi podawane w otwartych muszlach i turbota na parze. On to samo. Kiedy zostali sami, Maria powiedziała:

- Widziałam dziś rano w Luwrze Alexandrę Gordon.

Oczy mu się zwięzły, posłał jej czujne spojrzenie.

- I co u niej? Pewnie się ucieszyła na twój widok?

Maria westchnęła.

- Nie rozmawiałam z nią. Stropiona, uciekłam, zanim mnie zauważyła. - Pokręciła głową i dodała: - Głupio się zachowałam, prawda?

- Czyżbyście się wszystkie cztery tak bardzo pokłóciły? - spytał z autentycznym niedowierzaniem.

- Wtedy to wszystko wyglądało poważnie. Ale dzisiaj cała ta kłótnia zakrawa mi na błażostkę, wręcz dziecinadę...

Urwała.

Zrozumiał, że nie ma ochoty się w to zagłębiać, dlatego zmienił temat.

- Chyba świetnie się czujesz w Paryżu?

- Żebyś wiedział. Dzięki tobie. Wspaniale się mną zajmujesz.

Sięgnął po jej rękę przez stół, uściskał.

- Zadzurzyłem się w tobie bez reszty, Mario - powiedział niskim głosem. -I mam nadzieję, że ty czujesz to samo.

Odczekała chwilę i potwierdziła:

- Och, Nicky, żebyś wiedział.

Zacisnął palce na jej dłoni.

- Tak się cieszę, że to nie jest jednostronne uczucie.

Siedzieli bez słowa, trzymając się za ręce, wpatrzeni w siebie, dopóki nie podano ostryg.

Nicky wreszcie puścił jej rękę, wziął widelczyk do ostryg, ale spokoju nie dawała mu myśl, co też się z nim dzieje. Żeby doświadczony, światowy trzydziestoosmiolatek czuł się jak sztubak? Oszalałem, pomyślał. Z całą pewnością oszalałem.

Maria zjadła z apetytem kilka ostryg, odłożyła widelec i spojrzała na niego ponownie.

- Po przyjeździe do Paryża planowałam, że wyskoczę pociągiem na jeden dzień do Londynu. Żeby się spotkać z Riccardem. Bo, jak ci mówiłam, on tam pracuje. Ale wiesz, Nicky, zupełnie odeszła mi ochota.

- Ze względu na mnie? - spytał ostrożnie.

-Tak.

Podniosła wzrok.

Nicky dojrzał w jej oczach pożądanie i coś go ścisnęło w piersi. Powoli, upomniał się w duchu. Nie ma pośpiechu.

Przyjazd do Paryża był błędem, pomyślała Jessika, idąc wąską uliczką wzdłuż hotelu Plaza Athenee, w którym się zatrzymała. Z tym miastem wiązało się zbyt wiele wspomnień, przy czym większość dotyczyła Luciena Girarda. Wywoływały w niej bezmierny smutek i tęsknotę za życiem, którego nie dane jej było spędzać u boku kochanego niegdyś szczerze mężczyzny.

Teraz pożałowała, że tydzień wcześniej zadzwoniła do Alaina Bonna z Los Angeles, żeby umówić się tu z nim na obiad. Zaprzyjaźniła się z Alainem po tej historii ze zniknięciem Luciena i nigdy nie zapomniała wsparcia okazanego jej wtedy, gdy była bez reszty pogrążona w rozpacz. Ale stanowił zbyt silną więź z przeszłością, której nie potrafiła wymazać z pamięci.

Nawet jego wybór restauracji stanowił nostalgiczny ukłon w stronę Luciena, bo kiedy uczyła się w szkole Anyi, często chodzili we troje do „Chez Andre”.

Pchnęła drzwi do gwarnego, zatłoczonego lokalu. W środku było pełno gości, ale wystarczył jeden rzut oka w stronę baru z marmurowym blatem i natychmiast dostrzegła Alaina.

Zamachał do niej, zerwał się na równe nogi, wyskoczył zza stolika w jej stronę. Kiedy wyściskali się już serdecznie i wycalowali, usiedli razem na kanapie.

- Ależ ty pięknie wyglądasz, Jessiko! - zawołał Alain. - Czas się ciębie nie ima. Czego nie można powiedzieć o mnie.

- Dzięki za komplement. Oj, zawsze miałeś kompleksy. Ale według mnie wcale się nie zmieniłeś.

- Tylko przybyło mi kilka siwych włosów, cherie.

- Pomimo tego masz młodzieńczą twarz - odparowała z uśmiechem, myśląc, że nic nie stracił na atrakcyjności.

- Wezmiesz aperitif?

- Chętnie. Poproszę to samo co ty - powiedziała, zerknąwszy, że pije Kir Royale.

Kiedy kelner przyniósł jej kieliszek, wzniosła toast.

- Twoje zdrowie, Alain. Miło cię widzieć po tak długim czasie.

- To tylko dwa lata. *A votre sante*, Jessiko. Witaj w Paryżu.

- Czyli nie ożeniłeś się - stwierdziła, biorąc do ust łyk szampana zmieszanego z likierem.

Roześmiał się.

- Chyba jestem zatwardziałym kawalerem. Widocznie nie znalazłem odpowiedniej kobiety.

Uśmiechnęła się, potrząsając głową.

- Kiedy znów pofatygujesz się do Los Angeles, mogę ci przedstawić wiele pięknych kobiet - powiedziała zaczepnie.

Z nikłym uśmiechem sącył drinka. Po chwili wrócił do poprzedniego wątku.

- Pytałaś mnie o ciekawe obrazy. Właśnie dostaliśmy niezwykłą kolekcję z wyprzedawanego majątku. Mogłabyś kupić coś ciekawego za dobrą cenę.

- Chętnie je obejrzę.

- Zajrzysz jeszcze dziś po obiedzie do mojej galerii?

Zastanowiła się.

- Och, może kiedy indziej, Alain, bo teraz uszła ze mnie cała para. Chyba przez tę zmianę czasu.

- W takim razie trzeba cię natychmiast nakarmić.

Skinął na krążącego w pobliżu kelnera. Ten przyniósł im karty, wyrecytował specjalności dnia, po czym zostawił ich, żeby podjęli w spokoju decyzję.

- Ojej, moja ulubiona potrawa! - zawołała Jessika, wpatrując się w menu. - Zamówię *cervelle au beurre*.

- Pamiętam, że ty i Lucien tak lubiliście mózdzek. Ja jednak wezmę befsztyk. A co na początek? Widzę, że mają już białe szparagi.

- O, chętnie.

Kiedy skończyli zamawiać, Alain poprosił jeszcze o dwa *Kir Royales* i kartę win.

Przy aperitifie rozmawiali o sztuce. Alain Bonnal pracował z ojcem i bratem w galerii pozostającej własnością rodziny. Należała do najlepszych galerii w Paryżu, szczególnie słynęła ze zbiorów impresjonistów.

Kiedy Jessika rozprawiała o sztuce, Alain jej się przyglądał. Ależ ona ślicznie wygląda. Miała gładką twarz bez cienia zmarszczek, proste jasne włosy sięgające ramion. Zawsze szczupła, nadal zachowała piękną sylwetkę. Przez chwilę miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Ale ta przelotna myśl zaraz umknęła.

Kelner zjawił się z jedzeniem i winem. A kiedy już zabrano puste talerze, Jessika oparła się o kanapę. Przybrała zamyśloną minę.

- Szczerze mówiąc, Alain, chciałam też porozmawiać z tobą na temat Luciena.

Skinał głową, spojrzał na nią z uwagą, pytająco.

- Podczas tamtych poszukiwań sprawdziliśmy wszystkie możliwości. Poza jedną. Że Lucien mógł zniknąć rozmyślnie, na własne życzenie.

Alain wytrzeszczył oczy. Zbladł, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie.

- *Mais non, non, c'est pas possible!* - zawołał. - Niby dlaczego?

- Mógł chcieć zacząć nowe życie.

- *Ah, non, non!* To jakiś absurd! Snuliście tyle wspaniałych planów. Lucien był człowiekiem honoru. Nigdy by się tak nie zachował.

Jessika patrzyła na Alaina bez słowa. Jakiś cień wspomnienia zakłętała jej w głowie, ale nie umiała go teraz przywołać.

- Wiesz, Alain, zawsze gdzieś w głębi serca czułam, że Lucien żyje. Alain Bonnal pobladł i siedział, wpatrując się w nią, oniemiały.

Po powrocie do hotelu Jessika zastanowiła się nad tym osłupieniem Alaina. Czyżby udawał? Czy może wiedział coś, o czym nie mówił? A jeśli wiedział, że Lucien upozorował własne zniknięcie?

- Na miłość boską, dziewczyno, Lucien nie żyje! - zawołała głośno w pustym pokoju. Idź naprzód! - pomyślała. Nie wolno stać w miejscu. Nie możesz wiecznie żyć przeszłością...

Z tych myśli wyrwał ją ostry dzwonek telefonu. Sięgnęła po słuchawkę, odebrała.

-Halo?

- Cześć, Jess, to ja. Mark Sylvester.

- Cześć, Mark. Co słychać?

- Dziękuję, wszystko dobrze. A u ciebie?

- A co u mnie? Jeszcze się nie otrząsnęłam ze zmiany czasu. Dzwonisz z Los Angeles?

Roześmiał się.

- Jestem w Paryżu.

Aż ją замуrowało. Na chwilę zamilkła.

- A gdzie się zatrzymałeś?

- Tuż obok ciebie. No nie wiem, czy dokładnie po sąsiedzku, ale na tym samym piętrze. Jestem w Plaza Athenee - odpowiedział ze śmiechem.

- Co powiesz na kolację wieczorem w „Tour d'Argent”? Masz czas?

- Owszem, mam.

- W takim razie jesteśmy umówieni. Ósma ci odpowiada?

- Jak najbardziej. Bardzo mi będzie miło.

Siedziały w ogrodzie, pod starą wiśnią, słynna nauczycielka i jej ulubiona dawna uczennica.

Anya i Alexandra.

Dwie kobiety o tak różnym pochodzeniu i wychowaniu, a mimo to Nicky gotów byłby przysiąc, że w ich żyłach płynie ta sama krew, jakby pochodziły z jednej rodziny.

Nicky stał w domu Anyi i przyglądał im się z okna. Piły teraz poobiednią kawę przy żelaznym ażurowym stoliku i rozprawiły, jak to one, z ożywieniem. Widać, jak świetnie się ze sobą czują, pomyślał.

Alexa, jego była asystentka, piękna jak zawsze, wyglądała nader szymbownie w szarym prążkowanym żakiecie i dopasowanej krótkiej spódnicy, szczęśliwie odsłaniającej jej zachwycające nogi. W uszach miała złote kolczyki, a na szyi złoty łańcuszek. Jak zawsze za dnia prezentowała dyskretną elegancję.

Anya natomiast stanowiła uosobienie wielkiej damy z królewskim obejściem. Miała na sobie, jak powiadała, roboczy strój, czyli szare flanelowe spodnie, białą jedwabną koszulę i granatowy sweter. Wyglądała w nim, zdaniem Nicky'ego, jak angielska dama.

Zszedł do ogrodu, przywitał się.

- Witam panie!

Urwały w pół słowa, przeniosły wzrok na niego. Alexa zerwała się, podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wybaczcie, że przyjechałem wcześniej i przeszkodziłem wam w rozmowie - przeprosił Nicky. Spojrzał na ciotkę. - Wybac, ciociu.

- Ależ nic się nie stało. Już i tak kończyłyśmy. Siadaj, mój drogi. Nie mogę patrzeć, jak sterczysz nad nami niczym niecierpliwym kelnerem w opustoszałym bistro.

Nicky roześmiał się głośno, podszedł do metalowego krzesła przy stoliku i usiadł.

Anya zwróciła się teraz do Alexandry i, głaszcząc ją serdecznie po ręce, powiedziała:

- Tydzień temu poprosiłam Nicky'ego, żeby zrobił dla mnie coś, co ma związek z tobą. Chyba teraz chce mi zdać relację.

Alexa zrobiła zdziwioną minę.

- Kilka tygodni temu Anya wyraziła obawę, że możesz nie przyjechać na jej urodziny z powodu Toma Connersa - zaczął Nicky. - Dlatego mnie poprosiła, żebym spróbował się czegoś o nim dowiedzieć.

- Rozumiem - mruknęła Alexa i zastygła w bezruchu. - Wiem, że Tom nadal mieszka w Paryżu. Kiedy dostałam zaproszenie na twoje przyjęcie, zadzwoniłam do jego biura. Ale kiedy odebrał, odłożyłam słuchawkę, bo zabrakło mi śmiałości.

- Czyli wciąż o nim myślisz - skwitowała Anya.

- Oj, tak. Chciałabym to jakoś zakończyć. Wtedy dopiero przejdę spokojnie do następnego etapu życia.

- Mądra z ciebie dziewczyna! - zawołała Anya. - Chyba wstępny rekoniesans zrobiliśmy za ciebie. To znaczy Nicky zrobił.

Alexa pokiwała głową. Bardzo była ciekawa tej relacji.

- Zasięgnąłem tu i ówdzie języka - powiedział Nicky. - Tom się nie ożenił ani nie spotyka się z nikim na stałe. Chociaż podobno krąży wokół niego kilka kobiet. Ostatnio ponoć odziedziczył jakiś spadek, kupił posiadłość w Prowansji i według mojej znajomej Angelique, reżyserki filmowej, jest równie przystojny jak zawsze.

Alexa się roześmiała.

- Dzięki za ten wywiad, Nicky. Mam zatem dług wdzięczności wobec ciebie. A kiedy omówimy sprawę filmu? Jeszcze dzisiaj?

- Niestety, nie - odparł Nicky, spoglądając na zegarek. - Przepraszam cię, Alexo, ale muszę pędzić do domu, żeby się przebrać. Wieczorem jestem umówiony na kolację. - Wstał, podszedł do Anyi, pocałował ją w policzek. - Pewno się ucieszysz, bo idę na kolację z Marią.

- Bardzo się cieszę. To wspaniała dziewczyna - odparła Anya i poklepała go po ręce, którą trzymał na jej ramieniu.

Podszedł do Alexy i pocałował ją w policzek.

- Ale jeżeli masz czas jutro, możemy zjeść razem obiad - powiedział.

- Bardzo chętnie. Gdzie proponujesz?

- W „Relais” w Plaza Athenee. Odpowiada ci pierwsza po południu?

- Idealna pora - odpowiedziała Alexa.

Anya wstała, wzięła kuzyna pod rękę i wróciła z nim do domu.

- Bardzo ci dziękuję, Nicky, za ten wywiad na temat Toma. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

- Chyba Alexa też - mruknął cichym, konfidenyjonalnym szeptem.  
- Widziałas tę ulgę malującą się na jej twarzy? Chyba na wieść o tym, że się nie ożenił.

- Może - odparła Anya, która wcale nie miała tej pewności. W trakcie swojej długiej kariery pedagogicznej nauczyła się jednego - że młode dziewczyny bywają nieodgadnione.

- Tak się cieszę, że nie masz mnie za wścibską starą wiedźmę - dodała Anya, gdy już odprowadziła Nicky'ego do drzwi i wróciła do stolika pod wiśnią. - Ktoś inny mógłby tak sobie pomyśleć, kochanie.

- Po pierwsze, nie uważam cię za osobę starą, a po drugie, to żadne wścibstwo - zapewniła ją Alexandra. - Ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Też tak twierdzą.

- Aż się dziwię, że Nicky nie wygłosił mi wykładu - wyrzuciła z siebie nagle Alexa. - Zawsze mnie ostrzega! przed Tomem, twierdząc, że przy nim zaznam tylko cierpienia.

- Wiem, że Nicky bywa utrapieniem, ale to dusza chłopak. A chyba teraz już przyznasz, że niewiele się pomylił?

- Jak zwykle masz rację. - Alexa przyjrzała się w skupieniu Anyi, po czym spytała wymownie: - Czy kilka minut temu Nicky mówił o Marii Franconi?

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa. - Anya wyprostowała się na krześle.

- Nie do wiary! Nie pojmuję. Przecież on ma żonę. Connie Aykroyd!  
- Alexa pokręciła głową.

- Od pewnego czasu właściwie nie ma. Dawno się od niej wyprowadził, toteż uważa, że może się teraz spotykać z innymi kobietami.

- Najwyraźniej Maria Franconi ma takie życzenie. Przyznam, Anyu, że zdumiewa mnie ten związek!

- Mnie bynajmniej. Widzę, że Nicky stracił dla Marii głowę.

- Tak? Bardzo mnie to dziwi. A co u niej słyhać?

- Chyba wszystko w porządku. Poza tym cieszy się, że udało jej się zrzucić dwadzieścia dwa kilo.

- Maria aż tak utyłła? - zawołała Alexa i roześmiała się, mrużąc oczy.  
- No, no, pewno przez te włoskie makarony.

Anya zagryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Rozbawiło ją to, że Alexa chyba po raz pierwszy w życiu otwarcie zdobyła się wobec kogoś na złośliwość.

- Po twoim tonie poznaję, że wciąż żywisz urazę do Marii i jej kno-  
wań. Bo chyba tak to kiedyś określiłaś?

- To prawda, knuła przeciwko mnie - odparła sucho Alexa.  
- I mimo upływu lat wciąż nie chcesz o tym mówić?  
- Nie chcę. Maria zachowała się wobec mnie okropnie, nieprzyjemnie i bardzo nielojalnie.

Anya była za mądra, żeby nalegać.

- Jessika też już jest w Paryżu, a niedawno odezwała się Kay Lennox. Ma tu zjechać lada dzień, może nawet już przyjechała. I naprawdę wierzę, że potraficie we cztery załagodzić te stare waśnie.

Alexa zauważyła nutkę zmartwienia w głosie Anyi. Pogłaskała ją serdecznie po ręce.

- Z całą pewnością. Po prostu je do tego przymuszę.

Anya zachichotała.

- Och, Alexo, zawsze potrafisz mnie rozbawić jak zechcesz, zwłaszcza gdy udajesz taką twardą.

- Bo jestem twarda.

- Oj, chyba nie, kochanie. - Anya lekko się wzdrygnęła i wstała. - Robi się chłodno. Wejźmy do środka. Zobacz, słońce już się skryło za chmury.

Ruszyły razem do przepięknego starego domu. Anya otworzyła drzwi do niewielkiej biblioteki i obeszła ją, zapalając światła.

- Kochanie, bądź tak dobra i rozpal w kominku - poprosiła. - Tak się nagle oziębiło.

Alexa uklękła przed paleniskiem. Na kracie leżały zwitki gazet i szczapy drewna. W miedzianym kubku znalazła zapalki. Papier ze świstem zajął się ogniem. Ułożyła kilka bierwion, podeszła do tapicerowanego fotelika i usiadła.

Anya już siedziała w rozłożystym fotelu, wsparta dodatkowo na miękkich poduchach.

- Dziękuję, Alexo. - Wracając do przerwanej wątku, powiedziała:

- Tylko proszę cię, nie ciągnij tej sprawy, kochanie. Rozmów się z Tomem Connersem. Ale jeśli uznasz za stosowne, zerwij z nim raz na zawsze. Kiedyś poznasz odpowiedniego mężczyznę. - Spojrzała przenikliwie na Alexę. - Aż się dziwię, że jeszcze nie poznałaś.

- Ależ poznałam, Anyu. Nazywa się Jack Wilton. Jest bardzo utalentowanym artystą, zrobił karierę. Chce się ze mną żenić.

- A ty? Odwzajemniasz jego uczucie?

- Bardzo go lubię, nawet chyba Kocham, ale... - Potrząsnęła głową.

- Nie może się równać z Tomem. - Zagryzła wargę, odwróciła wzrok.

Po chwili spojrzała znów speszona na Anyę. - Ambicja nie pozwala mi wyjść za mąż za jednego, a tęsknić za drugim - odpowiedziała cicho.



- Rozumiem. Zawsze byłaś honorowa. Ale cóż wart jest honor bez odwagi? Nie bój się porównania Toma z Jackiem, gdyby przyszło co do czego. Weź się na odwagę i podejmij szczerą decyzję.

- Wiem, masz rację, Anyu.

Starsza dama uśmiechnęła się do niej krzepiąco, po czym spojrzała na małe biurko w kącie.

- Tam stoi telefon. Zadzwoń od razu do Toma. Przekonasz się, jak zareaguje na twój głos.

Alexandra aż się skuliła w fotelu. Po chwili jednak wstała i podeszła do telefonu. Ręce jej się trzęsły, kiedy brała słuchawkę, ale bez zmrużenia oka wybrała jego prywatny numer do biura.

- Tom Conners - odezwał się po drugim sygnale.

Aż dech jej w piersiach zaparło. Oparła się o biurko, chciała przełknąć ślinę. Ale zaschło jej w ustach.

- Tom Conners, *ici* - powtórzył spokojnie.

- Cześć, Tom, to ja...

Nawet nie pozwolił jej dokończyć.

- Alexa! - wykrzyknął. - Skąd dzwonisz?

Zaniemówiła ze zdziwienia, że tak od razu ją poznał. Ale prędko się pozbierała.

- Jestem w Paryżu, Tom. Co u ciebie?

- W porządku, wszystko dobrze. Przyjechałaś służbowo?

- Powiedzmy - odparła wymijająco, zadowolona, że zareagował tak normalnie. - Właściwie przyjechałam na osiemdziesiąte piąte urodziny Anyi.

- Och, aż trudno uwierzyć, że Anya kończy tyle lat - powiedział Tom ze śmiechem. - Alexo, znajdziesz czas na spotkanie ze mną?

- Chętnie. A kiedy?

- Może zjemy jutro obiad?

- Jutro, niestety, nie mogę. Idę na obiad z Nickym Sedgwickiem. Jeszcze w tym roku będę z nim pracowała przy filmie. Mamy sporo do omówienia. Nie mogę już odwołać.

- To nic. A jutro wieczorem? Masz czas?

- Owszem.

- Zjemy razem kolację?

- Będzie mi miło, Tom.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W Meurice.

- Przyjadę po ciebie około wpół do siódmej. Odpowiada ci?

- Świetnie. Do zobaczenia.

- Bardzo się cieszę - powiedział i odłożył słuchawkę.  
Alexa zacisnęła palce na słuchawce i patrzyła na Anyę.  
Anya aż parsknęła śmiechem.  
- I co? Nie było takie trudne, prawda?  
- Może i nie, ale jeszcze się trzęsę. Chyba wciąż go Kocham.  
- Niewykluczone, moja droga. Ale przekonasz się dopiero jutro, kiedy go zobaczysz.  
Alexa pokiwała tylko głową i zapadła się w fotel. Ależ ten Tom jest zabójczy, pomyślała. Zawsze tak na mnie działał.

## Rozdział ósmy

Idąc Polami Elizejskimi, Kay zastanawiała się, jak mogła wytrzymać tyle czasu poza Paryżem. Przecież to najpiękniejsze miasto, a tego ranka wydało jej się wprost cudowne. Na bławatkowym niebie kłębiły się białe chmury, jaskrawe słońce zalewało stare budowle.

Zapatrzyła się przed siebie, zatrzymała wzrok na Łuku Triumfalnym u wylotu długiej alei. Pod strzelistym łukiem na lekkim wietrze łopotała trójkolorowa, czerwono-biało-granatowa flaga francuska. Kay aż dech zaparło. Było coś tak poetyckiego i wzruszającego w tej zwykłej fladze powiewającej na wietrze, symbolu odwagi i triumfu kraju. Przypomniały jej się lekcje historii w szkole Anyi.

Ponieważ Anya przeżyła na własnej skórze drugą wojnę światową, lubiła mówić uczniom o tym, co wydarzyło się po obu stronach kanału La Manche w strasznym okresie hitlerowskiej okupacji. Jak koszarne straty przyniosłoby obrócenie w perzynę tych wspaniałych budowli zgodnie z pragnieniem Hitlera. Kiedy w 1944 roku wojska alianckie zbliżały się szybko do Paryża, Hitler rozkazał generałowi von Choltitzowi wysadzić owe pomniki historyczne, żeby przywitać aliantów dymem i zgliszczami. Już podłożono wiązki dynamitu pod Łuk Triumfalny, Pałac Inwalidów, wieżę Eiffła i katedrę Notre Dame, nie licząc innych. W ostatniej jednak chwili generałowi von Choltitzowi zabrakło odwagi, żeby zniszczyć te wiekopomne dzieła.

Kiedy Kay minęła łuk, nagle pomyślała o kobiecie, która podobnie jak ona nie mogła dać dziedzica ukochanemu mężczyźnie - o cesarzowej Józefinie. W końcu Napoleon musiał się z nią rozwieść, żeby spłodzić syna z inną kobietą. Nie był szczególnie szczęśliwy z Marią Luizą, córką cesa-

rza austriackiego, chociaż w końcu urodziła mu chłopca. Było to małżeństwo z rozsądku, a Napoleon zawsze w głębi duszy tęsknił za Józefiną.

Kay westchnęła i przeszła na drugą stronę Pól Elizejskich. Idąc wzdłuż bulwaru, wróciła myślą do doktora Francois Boujona. Poprzedniego dnia zjawiała się w jego gabinecie na avenue Montaigne, żeby zasięgnąć rady w sprawie bezpłodności. Przeszła badania i testy. Zależnie od wyników tych testów, może będzie musiała spędzić kilka dni w klinice. Przeszła spacerem kawałek avenue Georges V, którą dotarła do Place de l'Alma. W oddali na horyzoncie strzelała w niebo wieża Eiffla. Kay przypomniała sobie, co jej niegdyś powiedział Nicholas Sedgwick. Że gdziekolwiek spojrzeć w Paryżu, zawsze widać albo wieżę Eiffla, albo białe kopuły Sacre-Coeur. I rzeczywiście. Zastanowiła się, co teraz słysząc u Nicky'ego i u koleżanek - dziewcząt, z którymi przyjaźniła się kiedyś przez całe trzy lata. Powątpiewała, czy potrafią się dobrze bawić na przyjęciu Anyi, jeżeli się wpraw nie pogodzą. Długo myślała o nich jako o złośliwych, nieczułych jędzach, ale może przesadzała. Życie jest za krótkie i za dużo w nim znacznie ważniejszych spraw, żeby marnować je na nieporozumienia sprzed siedmiu lat. Tak powiedziała jej Anya wczoraj wieczorem przez telefon. I miała chyba rację.

Kay znalazła stolik w kafejce na bocznej uliczce odchodzącej od Place de l'Alma. Kiedy podszedł kelner, zamówiła omlet z pomidorami, sałatę i butelkę wody mineralnej. Gdy oddalił się z zamówieniem, usiadła wygodniej i zastanowiła się nad swoim życiem, a zwłaszcza nad ukochanym mężem Ianem. Mimo że nie przepadał za podróżowaniem, musiał polecieć do Nowego Jorku, by załatwić jakąś sprawę, która wynikła nieoczekiwanie w związku z wełną produkowaną w ich szkockich zakładach. Zapowiedział, że nie będzie go dziesięć dni. W tym czasie Kay miała nadzieję zakończyć testy u doktora Boujona. Zamierzała również znaleźć w Paryżu lokal na butik. Za tydzień miała tu przyjechać jej asystentka, Sophie McPherson, i miały się zakrzętnąć razem z renomowanym pośrednikiem handlu nieruchomościami.

Popijając mineralną, wróciła myślami do lat spędzonych niegdyś w Paryżu. Rolę domu pełnił niewielki przytulny hotelik na Lewym Brzegu. Uwielbiała swój mały pokój z dala od dzielnic nędzy w Glasgow. Tu czuła się bezpieczna, no i chodziła do szkoły, o której marzyła od lat.

Bardzo tęskniła za matką, lecz Alice Smith nie pozwoliła jej nawet myśleć o powrocie do domu.

- Pamiętaj, córuchno - mówiła - że Jean Smith umarła raz na zawsze. Jesteś teraz Kay Lenox. Nowe nazwisko, nowe życie. Nie ma odwrotu.

Głos matki dudnił echem w zakamarkach jej umysłu, wiecznie ją dopingując do nowego życia, do patrzenia w przyszłość. Tak wiele mam, myślała Kay. Ale wciąż boję się to stracić. Dlatego nie potrafię się w pełni tym cieszyć.

Wszystko teraz będzie dobrze, powiedziała sobie stanowczo.

Naprawdę wypiękniała, oceniła w myśli Anya. Przyglądała się przez okno wysokiej i szczupłej sylwetce Kay Lenox, która do niej zawitała.

Kay czekała pod wiśnią w ogrodzie, zapatrzona w dal. Nie wiedziała, że jest obserwowana ani że na jej twarzy maluje się rozmarzenie.

Ależ ona jest eteryczna, pomyślała Anya. Słońce sączące się przez gałęzie brzemienne kwiatami uczyniło z jej włosów aureolę migoczących czerwonozłotych płomieni. Kay nadal nosiła długie włosy, jak w wieku dziewiętnastu lat, kiedy przysłała do szkoły. Z tej odległości Anyi wydało się, jakby dziewczyna nie postarzała się ani o jeden dzień. Miała na sobie szyty na miarę grafitowoniebieski kostium, wąskie spodnie i żakiet trzy czwarte na wzór tuniki maharadży. Po prostu szyk.

Anya wyszła na dziedziniec i przywitała się:

- Witaj, kochanie, jestem. Przepraszam, że musiałeś czekać.

Kay natychmiast zakręciła się na pięcie, podbiegła, objęła i mocno uściskała Anyę.

- Tak się cieszę!

- Ja też, Kay. Chodź, kochanie, usiądźmy. Musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie.

Podeszły do żelaznego stolika, na którym ochmistrzynie nakryła do podwieczorku. Na piętrowej srebrnej paterze leżały przygotowane tartinki i zwykle biszkopty. Obok rolada z dżemem i bitą śmietaną, a także keks nadziewany słodkimi migdałami.

Anya podniosła srebrny imbryk, naląła herbaty, po czym oparła się wygodniej i zmierzyła Kay pełnym podziwu wzrokiem.

- Wyglądasz olśniewająco! Tak się cieszę, doprawdy.

Kay odwzajemniła uśmiech.

- Pewno przy dyplomie byłam niezgrabna jak tyka, co?

- Och, nie przesadzaj - sprzeciwiła się Anya. - Gratuluję ci ogromnego sukcesu. Okryłaś imię naszej szkoły chwałą.

- Tylko tobie zawdzięczam to, kim dziś jestem. I oczywiście mamie. Bez niej byłabym nikim.

Anya zauważyła cień w oczach Kay, jakby mgiełkę, kiedy dziewczyna mówiła o matce, nieżyjącej już od pewnego czasu. Dobrze wiedziała, ile Alice poświęciła dla Kay.

- Mogłyśmy jedynie tobą pokierować, wskazać ci drogę - sprostowała Anya. - A sukces jest wyłącznie twoim dziełem.

Kay skinęła głową, popiła herbaty. Wtem na jej twarzy zagościła powaga, odzwierciedlająca jej myśli. Na chwilę dziewczyna zanurzyła się we wspomnieniach.

Przerywając milczenie, Anya dodała:

- Cieszę się, że przyjechałaś do Paryża sporo wcześniej przed przyjęciem. Możemy nacieszyć się sobą, nagadać. - Anya się roześmiała, oczy znów jej rozbłysły. - Pozostałe dziewczęta wpadły na ten sam pomysł.

Alexa, Jessika i Maria już tu są.

- Och! - zawołała Kay, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Anyi nagle przyszło na myśl, że Alexa i Jessika miały w Paryżu nie dokończone sprawy. A jeśli i Kay sprowadziła wcześniej jakąś tajemniczą misja?

Skupiła się na swojej byłej uczennicy.

- Kay, przyjechałaś wcześniej z jakiegoś szczególnego powodu?

- Owszem. Zamierzam tu otworzyć butik. Wszyscy twierdzą, że w Paryżu ubrania się świetnie sprzedają.

- Znakomity pomysł.

- Dziękuję. - Nastąpiła krótka przerwa. - Czyli moje koleżanki już są?

Widziałaś się już z nimi, Anyu?

- Z Marią nawet kilka razy, Alexę gościłam wczoraj na obiedzie.

- Obie wyszły za mąż?

- Och nie.

- A Jessika?

- Jeszcze jej nie widziałam. Ale też nie wyszła za mąż. Chyba tylko ty z tego kwartetu znalazłaś wymarzonego mężczyznę.

Kay usiadła głębiej na żelaznym krześle. Miała nieszczęśliwą minę. Nagle łzy wezbrały jej w kącikach oczu.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Anya.

Kay milczała, ale z oczu zaczęły jej kapać łzy.

- Kochanie, co takiego? - Anya przysunęła się do dziewczyny.

Kay otarła opuszkami palców Izy i powiedziała z wahaniem:

- Zamartwiam się o swoje małżeństwo. Nie zaszłam do tej pory w ciążę, a to jest najważniejsza sprawa.

- Rozumiem, kochanie, Ian pragnie mieć syna, dziedzica.

Kay przełknęła ślinę, odchrząknęła.

- Ian jest dobrym człowiekiem i o tym w ogóle nie wspomina. Ani razu się nie zająknął. Ale wiem, że bez przerwy o tym myśli. Wiesz, jak się tym gryzę? Ta sprawa wisi nade mną jak topór.

- Wiem.

- Przyjechałam do Paryża, żeby zasięgnąć rady doktora Francois Boujona. Pewno o nim słyszałaś.

Anya pokiwała głową.

- Owszem. Cieszy się wielką sławą. Na pewno ci pomoże.

- Och, mam nadzieję, Anyu.

- Jesteś już po wizycie?

- Tak, byłam wczoraj. Przeszłam badania i testy...

Kay odwróciła głowę. Znów się rozplakała.

Anya przyglądała jej się badawczo.

- Nic ci nie jest?

- Skłamałam doktorowi Boujon - wybuchła Kay. - Wypytywał mnie o wszystko, a ja nie odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Skłamałam.

- Ale dlaczego? - Anya nachmurzyła się. - Co ci strzeliło do głowy?

Kay zagryzła wargę.

- Nie chciałam mu się zwierzać. Lepiej, jak ludzie nie wiedzą o mnie pewnych rzeczy.

- Rozumiem. - Anya przyjrzała jej się teraz uważnie. - A co takiego ukrywasz przed doktorem Boujonem?

- Gdy zapytał, czy kiedykolwiek byłam w ciąży, zaprzeczyłam. To nieprawda. Raz byłam. Sądzisz, że mógł to stwierdzić podczas badania?

- Nie mam pewności. - Anya wpatrywała się w Kay. - Poroniłaś?

- Usunęłam dziecko.

- Och, Kay.

- Anyu, błagam, nie patrz tak na mnie. We wczesnej młodości przeżyłam gwałt. Kiedy zaszłam w ciążę, miałam zaledwie dwanaście lat.

Anya zamknęła raptownie oczy i przez chwilę siedziała w milczeniu. Gdy je wreszcie otworzyła, ogród wydał jej się mniej słoneczny, jak gdyby coś przyćmiło blask. Przykryła dłoń Kay swoją ręką w geście otuchy.

- Nie sądzisz, że ci pomoże, jak się wygadasz?

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Tylko mamie - szepnęła Kay.

Anya ścisnęła jej rękę, po czym odchyliła się w krzesło, dołąca im obu herbaty. Milczała, czekała.

Kay wypila kilka łyków, odprężyła się. Pomału opuściło ją napięcie.

- Chyba najlepiej, jeśli zacznę od początku. Moja mama pracowała u projektantki mody w Glasgow, Allison Rawley. Allison miała koleżankę, utytułowaną Angielkę, która czasem przyjeżdżała do niej w gości i oczywiście robiła zakupy w jej sklepie. Ta kobieta zaproponowała, żeby moja mama poprowadziła jej dom. Uznała, że świetnie się do tego nadaje.

-I mama przyjęła propozycję?

- Tak. Wszystko zapowiadało się fantastycznie. Dom znajdował się nad zatoką Firth of Forth, pół godziny drogi z Edynburga. Lady powiedziała mamie, że może zabrać Sandy'ego i mnie, bo dostaniemy własne mieszkanie w zamku. Mama dostrzegła w tym wielką szansę na polepszenie naszej sytuacji. Tak bardzo chciała się wyrwać z miasta. - Kay przerwała. - Anny, nigdy nie zapomnę tamtej rezydencji. Teren był wspaniały, rozciągał się stamtąd przepiękny widok na wzgórze Lammermuir i na zatokę. Zamek był naprawdę czarodziejski. Ale krył się w nim jeden problem, zwłaszcza dla mnie. Lord.

- To on cię molestował? - spytała Anya cicho.

Kay skinęła głową.

- Wszystko zaczęło się mniej więcej po roku naszego pobytu. Miałam wtedy dziesięć i pół roku. Najpierw myślałam, że to przypadki. Lord a to otarł się o mnie, a to ścisnął za ramię, pogłaskał po głowie. Ale potem zaczął czatować na mnie na dworze, w lesie. Dotykał mnie... w intymne miejsca.

Anya, nie chcąc przerywać potoku jej słów, kiwała tylko głową.

- Po kilku naprawdę przykrych sytuacjach zaczęłam się z nim szamać. Zagroził, że jeśli mu nie ulegnę, wyrzuci moją matkę, a nas wszystkich odeśle precz. Straszyl, że puści nas z torbami, a ja nie wiedziałam, co to znaczy, wpadłam w panikę. Wiedziałam, ile ta praca mamy dla nas znaczy. Gdzie byśmy wtedy zamieszkali? I czy poradzilibyśmy sobie z tymi „torbami”? Brzmiało mi to nadzwyczaj groźnie.

- Nigdy nie zwierzyłaś się mamie? - spytała Anya.

- Bałam się pisać chociaż słówko. Bałam się jego i jego pogroźek. On był możnowładcą, a myśmy klepali biedę. Tata nie żył od wielu lat, mieliśmy tylko babcię w Glasgow.

- Och, Kay - szepnęła Anya. - To musiało być straszne.

Zbladła, z jej oczu wyrwał ból.

- Żebyś wiedziała. A z czasem lord się rozzuchwiał. I coraz śmieiej sobie ze mną poczynał. Próbowałam go powstrzymać, ale był silny i natarczywy. Tuż przed moimi dwunastymi urodzinami... poszedł na całość. Zgwałcił mnie którejś soboty, kiedy mama wyjechała z Sandym do Edynburga. - Kay znów umilkła, upiła łyk herbaty. Zaraz jednak podjęła cicho opowieść: - Nie poprzestał na jednym razie. A po kolejnym nie dostałam miesiączki i zrozumiałam, że zdarzyło się najgorsze.

- Dopiero wtedy powiedziałaś mamie?

- Tak. Nie miałam wyboru. Zachowała się wspaniale, chociaż była przerażona tym, co się wydarzyło. Wpadła w furję, zagroziła, że go

zaskarzy, że wynajmie adwokata w Edynburgu. Z początku lord mocno się zarzekał, że w ogóle się do mnie nie zbliżył, a w posiadłości nie było żadnych innych mężczyzn oprócz dwóch starych ogrodników. Żyłam w odosobnieniu.

- Wtedy twoja mama zgłosiła gwałt na policję.

Kay potrząsnęła głową.

- Nie, nie zgłosiła. Już się tam wybierała, kiedy lord zaproponował jej... układ. Obiecał wysłać nas do lekarza do Edynburga na zabieg, którego koszty on pokryje. Zaoferował mamie trzymiesięczną odprawę, jeśli natychmiast wyjedziemy.

- I co? Mama przyjęła te warunki?

- Nie. Zrozumiała, że ma go w garści. Ten człowiek zasiadał w Izbie Lordów w Londynie. Razem z lady obracali się w najwyższych sferach, toteż za wszelką cenę chciał uniknąć skandalu. Wtedy mama wystąpiła z kontrpropozycją. Zażądała... - Kay zaczerpnęła głęboko tchu. - Miliona funtów.

Anya aż rozdziawiła usta. Na dobrą chwilę odebrało jej mowę. W końcu wykrztusiła:

- I co, dostała?

- Nie. Zażądała wysokiej ceny, bo wiedziała, że będzie musiała się targować. Chciała zostawić sobie pole do manewru. W końcu stanęło na czterystu tysiącach funtów.

- O Boże!

Kay pokiwała głową i uśmiechnęła się słabo.

- Mama odmówiła wyjazdu, dopóki nie dostanie należności na rękę. Dopiero kiedy lord uregulował spłatę, spakowaliśmy manatki i wyjechaliśmy do Edynburga. Mama wynajęła dla nas małe mieszkanie.

Kay odchyliła się na oparcie krzesła, pokiwała głową, westchnęła, po czym wbiła wzrok w Anyę.

W ogrodzie panowała cisza. Nie drgnął ani jeden liść, ani jedno źdźbło trawy. Nawet ptaki nie świergotały.

Anyi huczały w głowie usłyszane słowa. Rzeczony arystokrata okazał się obleśnym potworem.

- Mama przeznaczyła te pieniądze na twoje wykształcenie?

- Tak, moje i Sandy'ego. Opłaciła czesne w Harrogate College i w twojej szkole w Paryżu. A za resztę, zdeponowaną w banku, otworzyłam własną firmę projektancką. Mama ani pensa nie wzięła dla siebie. Zawsze tylko harowała i oszczędzała.

- Bo była mądrą kobietą, Kay, bardzo mądrą. A ta aborcja? Nigdy o niej nie wspominałaś. Nie udała się?



- Nie jestem pewna. Ale strach nie daje mi spokoju. Dostałam po niej dużego krwotoku, potem przez wiele dni miałam straszne bóle. A jeśli tamten lekarz spowodował trwałe uszkodzenie?

-Tego nie da się wykluczyć, chociaż najprawdopodobniej wyszłoby to już na jaw. Nie miałaś do tej pory żadnych problemów?

- Nie, ale to jeszcze nie dowód.

Anya wstała, podeszła, przygarnęła dziewczynę, żeby ją podnieść na duchu. Kay przywarła do niej, wtuliła w nią twarz, rozszlochała się. Nauczycielka tuliła ją, głaskała po głowie, aż dziewczyna ucichła.

W końcu spytała ją szeptem:

- Ale Ian nic nie wie, prawda? Nie zwierzyłaś mu się?

- Nie miałam odwagi - szepnęła Kay. - Ian nie ma pojęcia o mojej przeszłości. Mama stworzyła mi zupełnie nową tożsamość, pieniądze wszystko zatuszowały. Umarłby, gdyby się dowiedział, że pochodzę z dzielnicy nędzy w Glasgow. I oczywiście by się ze mną rozwiódł.

- Niekoniecznie. Ludzie potrafią okazać dużą wyrozumiałość.

- Nie będę ryzykowała, Anyu.

- Słowa to słaba pociecha, kochanie - rzekła Anya serdecznie, głaszcząc znów Kay po głowie. - Wiem, że to niewiele powiedzieć, iż nieźmiernie ci współczuję. Nie wyrażę bólu i cierpienia, jakie czuję w sercu. Zwłaszcza że byłaś wtedy taka młoda, byłaś zaledwie dzieckiem.

Głos Anyi drżał z przejęcia, w końcu uwiązał jej w gardle.

Kay oswobodziła się z objęć Anyi, podniosła na nią wzrok.

- Żyłam w ciągłym strachu, tylko marzenia o ucieczce do lepszego świata trzymały mnie przy życiu.

-I ci się udało - pochwaliła Anya. Oczy zalśniły jej łzami. - Jestem dumna z twojej dzielności i siły. Gdybyś cokolwiek potrzebowała, wiedz, że zawsze możesz się do mnie zwrócić.

Kay ze wzruszeniem przyjęła tę deklarację.

- Dziękuję za te słowa, Anyu. Traktuję cię jak przyjaciółkę, jedyną, jaką mam.

Anya zasepiła się.

- Sądziłam, że masz ich więcej.

- Powiedzmy. Przyjaźnię się ze swoją asystentką Sophie, także z Fiona, siostrą Iana, ale ty jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

Jakie to smutne, pomyślała Anya.

- Szkoda tamtej przyjaźni z dawnymi koleżankami. Mam nadzieję, że puścicie teraz urazy w niepamięć i znów się zaprzyjaźnicie. - Spojrzała wymownie na Kay. - Uwierz starszej osobie. Życie jest za krótkie, żeby pielęgnować urazy.

- To prawda - odparła Kay, myśląc, że z ich czwórki ona ponosi najmniejszą winę. To tamte dziewczęta stwarzały problemy.

## Rozdział dziewiąty

Alexa spojrzała na zegarek, kiedy zadzwonił telefon. Było dokładnie wpół do siódmej. Sięgnęła po słuchawkę.

-Halo?

Powiedziała to nieswoim głosem, ściskając słuchawkę tak mocno, że aż kostki jej pobieleły.

- Mówi Tom. Jestem w recepcji.

- Już schodzę - odrzekła i odłożyła słuchawkę. Chwyliła torbę, szal i wybiegła z pokoju.

Czekając na windę, przejrzała się w korytarzowym lustrze. Włosy miała uczesane gładko, makijaż idealny, na sobie obcisłą czarną lnianą sukienkę, odpowiednią na każdą okazję, a za jedyną biżuterię zegarek i perły w uszach.

Wzięła się w garść, weszła do windy. Tak bardzo chciała go zobaczyć, że nie mogła się doczekać, kiedy winda zjedzie na dół. Zobaczyła od razu, gdy tylko wysiadła. Stał z boku, przy wejściu do zimowego ogródka.

Był odwrócony profilem, ale natychmiast dostrzegła, że jest przystojny jak zawsze i nienagannie ubrany. Miał na sobie granatową marynarkę, szare spodnie i niebieską koszulę. Jedwabny krawat w niebiesko-srebrne prążki, wyglansowane czarne buty.

Spłoszyła się, kiedy odwrócił głowę i na nią spojrzał.

Następnie podszedł pewnym krokiem, z poważną miną. Lecz zaraz uśmiechnął się nieoczekiwanie, odsłaniając piękne białe zęby. Oczy miał niebieskie jak niebo. Zobaczyła siwiznę na skroniach.

- Witaj, Alexo - powiedział, ujmując ją za rękę, całując w policzek. Zaraz się cofnęła, w obawie, żeby nie usłyszał, jak wali jej serce. Przełknęła ślinę, bo zaschło jej w ustach, i odparła:

- Cześć, Tom.

Przez ułamek sekundy wpatrywał się w nią, potem zaproponował:

- Napijemy się czegoś?

Weszli do baru „Fontainebleau”, wybrał stolik w kącie pod oknem, usiedli. Natychmiast zjawił się kelner.

Tom spojrzał na nią, uniósł ciemną brew.

- To, co zawsze?

Skinęła głową.

- *Deux coupes, s'il vous plait.*

Kiedy kelner zniknął, Tom zapatrzył się w nią.

- Nic się nie zmieniłaś. Wyglądasz dokładnie tak samo, z wyjątkiem włosów.

- Obcięłam.

- Widzę. Ale bardzo ci dobrze w tej fryzurze. Tres chic.

Nie skomentowała.

Po chwili Tom znów się odezwał.

- Dużo o tobie czytałem, Alexo. Odniosłaś wielki sukces.

- Owszem, poszczyściło mi się.

- Oj, chyba raczej talent dopisał.

Uśmiechnęła się, marząc o tym, żeby serce przestało już tak łomotać w piersi. Wrócił kelner, postawił przed nimi dwa smukłe kieliszki szampa-  
na. Kiedy zostali sami, Tom uniósł swój kieliszek i trącił jej.

- *Sante.*

- *Sante* - zawtórowała i uśmiechnęła się promiennie.

Odstawił kieliszek.

- Nareszcie - mruknął. - Bo już sądziłem, że ten mars nigdy ci nie zniknie z twarzy.

- Nie wiedziałam, że mam taką ponurą minę.

- No, to uwierz. - Przechylił się do niej przez stół. - Cieszę się, że zadzwoniłaś. Cieszę się, że cię widzę, Alexo. - A kiedy nie odzywała się, zapytał: - Ty też się cieszysz?

-Tak.

Roześmiał się.

- Jakieś słabiutkie to twoje „tak”. Niepewne.

- Wcale nie. Bardzo się cieszę, Tom. Chciałam się z tobą spotkać.

W przeciwnym razie nie zadzwoniłabym.

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, przytrzymał w swojej i bacznie obejrzał.

- Nie wyszłaś za mąż, nie zareczyłaś się? Nie związałaś się z nikim?

Alexa potrząsnęła głową.

- Mam przyjaciela. Artystę. Bardzo miły. Anglik. - Słowa kapały

w urywanym staccato.

- Coś poważnego?

- Sama... nie wiem - zawahała się. - On chyba myśli o tym poważnie.

-A ty?

- Nie jestem... pewna.

- Rozumiem.
- A ty masz kogoś, Tom?
- Nie - odparł zwięźle.
- Nie wyobrażam sobie, żebyś nie miał... dziewczyny.
- Jakieś miewam. Ale żadna zbyt wiele dla mnie nie znaczy.

Poczuła niewymowną ulgę, opadło z niej całe napięcie. Miała nadzieję, że Tom tego nie zauważył.

- Wczoraj widziałam Nicky'ego Sedgwicka u Anyi. Wspominał, że kupiłeś dom w Prowansji.

- Zmarła moja babka Francuzka. Zostawiła mi niewielki spadek. Kupiłem małą farmę oliwek pod Aix-en-Provence.

- Moje gratulacje! I prosperuje?

- Raczej kuleje. - Uśmiechnął się. - Muszę trochę w nią zainwestować, może zatrudnię jakąś pomoc dla prowadzącego ją zarządcy. Chociaż to tylko hobby, nic poważnego, naturellement.

- Czyli nie rezygnujesz z kancelarii prawnej? I nie wyjeżdżasz z miasta na stałe?

- Nie mógłbym się wyprowadzić z Paryża. Dobrze wiesz, że nie nadaje się do życia na wsi.

- Wiem.

Popił szampana i ciągnął:

- Zamówiłem stolik w „L'Ambroisie”. Przy placu Wogezów. Ale wieczór jest taki piękny, najpierw chyba przejedziemy się po Paryżu, co?

Tom wziął ją pod rękę i sprowadził schodami frontowymi. Na ulicy wezwał gestem taksówkarza, który stał obok swojego samochodu.

Chwilę potem pomagał jej wsiąść na tylne siedzenie mercedesa.

Wsiadł za nią. Alexa przesunęła się w kąt. Tom usadowił się w drugim. Położyła szal i torebkę między nimi, jak gdyby wznosiła barierę.

Zauważyła, że to dostrzegł i że zadrzały mu usta, kiedy tłumił uśmiech. Speszyla się i zaczęła nerwowo myśleć, jak by tu zagaic towarzyską rozmowę, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

Tom dokładnie instruował po francusku taksówkarza, który ma jechać. Najpierw dookoła placu Zgody, potem Polami Elizejskimi i z powrotem przez most na Sekwanie na Lewy Brzeg. Kiedy podał wskazówki na temat trasy, oparł się wygodniej, spojrzal na Alexandre i rozpoczął rozmowę.

- I jak tam Nicky? Dawno go nie widziałem.

- Świetnie wygląda. Odnosi jeszcze większe sukcesy niż kiedykolwiek.

- Podobno. Będziesz z nim pracowała?

- Tak. Spotkaliśmy się dziś na obiedzie. - Wtem aż zawołała z zachwytem: - Och, Tom, jak dziś pięknie wygląda plac Zgody... pod tym nieskazitelnym niebem.

Wyrzwał przez okno.

- Masz rację, niebo jest naprawdę przepiękne. Światło wydaje się takie przejrzyste.

- Wprawdzie magiczna pora już minęła, ale nie ma co narzekać.

- Ech, ty i ta twoja magiczna pora. Wymarzyłaś ją sobie w dzieciństwie. - Roześmiał się.

- Pamiętasz?

- Wszystko pamiętam.

Sięgnął po jej rękę, ale cofnęła ją na podolek. I znów wyrzwała przez okno. Wiedziała, że gdyby jej dotknął, to albo by się rozpadła, albo na niego rzuciła.

- No, to mów - poprosił, odwracając się do niej. - Kiedy zaczynają się zdjęcia do tego filmu?

- Chyba pod koniec lata. A dlaczego pytasz?

- Bo już się cieszę na myśl o tym, że będziesz w Paryżu.

- Och - skwitowała krótko.

Taksówka zatrzymała się na Place St.-Michel.

- Wyjdźmy - poprosił Tom, otworzył drzwi, pomógł jej wysiąść. A taksówkarzowi rzucił: - *Cinq minutes*, Hubert.

Trzasnął drzwiczkami i wziął ją za rękę. Poprowadził ją rue de la Huchette, następnie rue de la Bucherie. Minęli niewielki plac, idąc nad Sekwanę. Nad rzeką Tom przypomniał:

- Spójrz, zawsze twierdziłaś, że to twój ulubiony widok w Paryżu.

Zapatrzyli się razem na Ile de la Cite, jedną z wysepek na Sekwanie, na której stała katedra Notre Dame. Alexa spojrzała na Toma, on na nią. Spotkali się wzrokiem, pokiwali głowami, odwrócili wzrok na katedrę. Jej imponujące gotyckie wieże rysowały się na tle ciemniejącego nieba, a wyższa lśniła w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Alexandra zwróciła się do Toma i powiedziała:

- Mam do tego widoku szczególnie sentyment.

- Ja też. Sądzisz, że nie pamiętam, jak na pierwszej randce staliśmy tu wieczorem i podziwiali miasto?

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła się zdobyć. Tom pochylił się nad nią i pocałował delikatnie. Po czym przyciągnął ją do siebie, przytulił i obsypał pocałunkami, coraz bardziej żarliwymi.

Alexa objęła go, przywarła do niego całym ciałem.

Kiedy odsunęli się od siebie, spojrzał jej głęboko w oczy i delikatnie pogłaskał po policzku.

- Czemu mnie tu przywiozłeś, Tom?

- Żebyś się przekonała, że niczego nie zapomniałem... niczego.

- Ani ja - szepnęła. Serce jej się ścisnęło na myśl o bólu, jaki jej zadał. W końcu wybąkała: - Chyba nie mogłabym przyjechać do Paryża i nie zadzwonić do ciebie.

- A ja nie zniósłbym, gdybyś tu była, a ja bym cię nie zobaczył. - Objął ją i tak wtuleni w siebie wrócili do taksówki. Po drodze jeszcze szepnął jej do ucha: - Bardzo... się stęskniłem.

- Ja też.

Zaczerpnął głęboko tchu, wypuścił powietrze, rozejrzał się, a po chwili zdobył się na pytanie:

- A ten twój przyjaciel Anglik? Chciałby zalegalizować wasz związek?

- Wspominał o tym, tak.

- To jest to, czego chciałaś, prawda? Małżeństwa, dzieci, miłego życia rodzinnego?

- Chciałam, z tobą.

- A nie z nim?

Alexandra wzruszyła ramionami, spojrzała w niebo, potrząsnęła nerwowo głową.

- Sama nie wiem. Właściwie nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Przepraszam. Wtrącam się...

Umilkł, doprowadził ją do mercedesa zaparkowanego nieopodal.

W drodze do restauracji prawie się nie odzywali. Tom Connors zbesztął się w duchu za to, że dał się ponieść emocjom. Od chwili, kiedy zobaczył ją w recepcji hotelu, chciał ją pocałować mocno i namiętnie. Naprawdę ucieszył się na jej widok, naprawdę się stęsknił. Tyle że nie miał ochoty zaczynać od nowa tego związku. Nie miał jej nic do zaoferowania na dłuższą metę. I nie chciał jej ponownie skrzywdzić.

- Zapomniałam, jak uroczy jest plac Wogezów - westchnęła Alexa, odrywając go od jego myśli.

- To najpiękniejszy stary plac w Paryżu. Wiesz, że istnieje od siedemnastego wieku - dodał. - Chyba ci kiedyś mówiłem, że moja mama wychowała się w jednej z tych starych kamienic po drugiej stronie ogrodów.

- Co u niej? I u twojego ojca?

- Dziękuję, oboje mają się dobrze. A twoi?

- Też. W doskonałej formie.

Nagle Hubert otworzył przed nimi drzwi mercedesa. Tom wysiadł, po czym pomógł wyjść Alexandrze. Weszli do „L'Ambroisie”, mrugając

oczami w przyćmionym świetle wnętrza. Przywitano Toma serdecznie, posadzono ich przy dwuosobowym stoliku w zacisznym kącie.

Kiedy już usiedli, Alexa rozejrzała się. Doceniła starą, stonowaną boazerię na ścianach, wysoki sufit, cenne draperie, srebrne świeczniki z białymi świecami, wielkie kamienne donice, pełne po wręby świeżych zwieszających się kwiatów.

Kiedy Tom zamówił szampana, Alexa zagadnęła:

- Jeszcze mi nie wyjawiałeś, co porabiałeś przez ten czas.

Odchylił się w krzesło, zamyślił.

Pomyślała, że nigdy nie miał bardziej niebieskich oczu. Ależ on jest przystojny. Wprost zabójczy. Przynajmniej na nią tak działa. Po czym poprawiła się. Chyba na każdą kobietę.

- Nadal obracam się w środowisku filmowym. Przez ostatnie dwa lata firma zyskała spory prestiż, chociaż nic specjalnego się nie wydarzyło. Prowadzę dość przyziemny żywot.

- Ja bym tak tego nie nazwała, Tom.

Przyszedł kelner z dwoma bardzo wysokimi kryształowymi kieliszkami złocistego, musującego szampana. Zatem Tom mógł się wstrzymać od odpowiedzi. Zastanawiał się, dlaczego właściwie siedzą w restauracji, skoro wolałby mieć ją w domu, w swoim łóżku.

Po chwili główny kelner omówił z Tomem menu.

Alexa niby słuchała, ale zauroczona, nie odrywała oczu od Toma. Przyziemny żywot, pomyślała. Szkoda, że nie z nią. Przypomnił jej się Jack i ogarnął ją smutek.

Zależało jej tylko na jednym mężczyźnie. Na Tomie Connersie.

- Nie miej mi, proszę, za złe, ale zamówiłem dla nas obojga - powiedział Tom z uśmiechem. - Białe szparagi, langusta w cieście, specjalność zakładu, a potem...

- Jagnięcina - przerwała bez cienia wahania Alexa. - Chyba zapomniałaś, że znam francuski - dodała. - I zamówiłem swoje ulubione wino, Petrus. Kiedyś twierdziłaś, że pasuje tylko na wyjątkowe okazje. Czyżby dzisiejszy wieczór był wyjątkowy, Tom?

- Jak najbardziej. Świętujemy twój powrót do Paryża.

- Bawię tu tylko z wizytą. I to nie na długo.

- Alex, nie mów o wyjeździe. Ledwo przyjechałaś. I przecież znowu wrócisz. - Jego błękitne oczy nagle się ożywiły. - Jak długo będziesz zajęta przy filmie?

- Jeszcze nie wiem. Nicky nic nie mówił. Ale pewnie co najmniej kilka miesięcy. - Uniosła kieliszek, łyknęła szampana i spytała: - Przez te trzy lata ani razu nie byłeś w Nowym Jorku?

- Nie. Dwa lata temu wpadłem tylko do Los Angeles na spotkanie z klientem. - Pokręcił głową. - Powinienem być do ciebie zadzwonić.

- No, to czemu nie zadzwoniłeś?

Przykrył dłonią jej dłoń.

- Nie czułem, bym miał prawo. To ja zerwałem nasz związek. Byłem pewien, że się w kimś zakochasz, ułożysz sobie życie.

Alexa spojrzała mu głęboko w oczy, zastanawiając się, jak mógł tak myśleć? Nie wiedział, jak bardzo go kochałam - całym sercem? Oczy nabiegły jej łzami.

- Zdenerwowałem cię. Ale czym? Co takiego powiedziałem?

Aż zacisnął palce na jej ręce, przysunął się do niej, spojrzał zmieszany.

- Chyba zdziwiłeś mnie tymi podejrzeniami, że tak łatwo mogłabym o tobie zapomnieć.

- Przecież minęło tyle czasu, trzy lata.

Alexa parsknęła nerwowym śmiechem.

- Ktoś mógłby uznać, że to głupota mówić ci coś takiego, podbechtować twoją próżność. - Urwała, po czym dokończyła cicho: - Kocham cię, Tom. Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia i to się chyba nigdy nie zmieni.

Pokiwał głową, nie odrywając od niej wzroku.

- Przez ten czas wdawałem się w nic nie znaczący seks z kobietami, do których nic nie czułem. Zlewają mi się w jedno. Bo nie chciałem nikogo poza tobą.

Patrzyła na niego badawczo, mrużąc oczy.

- To dlaczego nie zadzwoniłeś? Nie odczuwałaś takiej pokusy?

- Jeszcze jaką! Ale już ci mówiłem, uważałem, że nie mam prawa. Poza tym wiedziałem, że muszę się uporać z własnymi problemami.

- Twierdziłeś, że nie masz mi nic do zaoferowania i że dajesz mi wolną rękę. Ale ci się nie udało, Tom. Bo czuję się związana z tobą raz na zawsze.

Zapadła cisza.

Nadal nie odrywał od niej oczu. Jakże kochał tę twarz. Powoli, niskim głosem powiedział:

- Tak długo czekałem na ten telefon, który zdarzył się dopiero wczoraj. Nie mogłem wprost uwierzyć, że to ty.

Zjawił się kelner z białymi szparagami. Postawił je, spryskał sosem winegret, po czym zostawił ich samych.

Alexa skubnęła kilka z nich, odłożyła widelec.

Tom podniósł wzrok znad talerza, zmarszczył czoło.

- Czy coś się stało? Bo nie jesz.



- Właściwie nie jestem głodna.

- Ja też nie.

Spojrzeni na siebie wzrokiem pełnym pożądania, w pełni świadomi, czego naprawdę chcą.

- Teraz nie możemy wyjść, dopóki nie podadzą wszystkiego - uprzedził Tom. - Gdybyśmy wyszli, nie miałbym tu powrotu. - Westchnął żartobliwie, sięgnął po jej rękę. - Obwołano by mnie *persona non grata*.

- Rozumiem. Zresztą, po takim oczekiwaniu, co znaczy godzina? Kiedy wniesiono langusty, oboje trochę się odprężyli. W pewnej chwili Tom podniósł kieliszek czerwonego wina i wygłosił krótki toast:

- Alexo, wypijmy za twój powrót.

- Tak się cieszę, że znów tu jestem - powiedziała, trącając się z nim kieliszkiem. Ciekawe, czy chodzi mu o jej powrót do Paryża, czy do jego życia? Łyknęła wina. - Gładki jak jedwab ten twój Petrus.

Roześmiał się, wyraźnie zadowolony.

Alexa podziubiła jagnięcinę na talerzu, wzięła kęs do ust, odłożyła widelec. Zwróciła się do Toma:

- Wspomniałeś o problemach. Udało ci się z nimi uporać?

- Tak mi się zdaje - odparł. Twarz na chwilę mu się zmieniła. - Trochę mi to zabrało energii i czasu, ale się uporałem.

- Bardzo się cieszę.

- Czasem wpadam w przygnębienie, ale na co dzień chyba wygrałem z demonami.

- Jak ci się to udało? - spytała, po czym aż się skuliła na widok jego miny. - Przepraszam - dodała pospiesznie. - Nie chciałabym się wtrącać.

- Gdybym z tobą nie mógł o tym rozmawiać, to sam nie wiem, z kim. Poradziłem sobie bez pomocy psychiatrów ani środków uspokajających. Po prostu przetrwałem rzecz do końca.

- Domyślam się, że nie bez trudu.

- Owszem, ale miałem niesłychaną motywację. Dążyłem do tego, żeby znów stać się Tomem Connersem sprzed śmierci Juliette i Marie-Laure. Po twoim wyjeździe z Paryża dosłownie się załamalem. Zacząłem pić. - Spojrzał na kieliszek wina na stole. - I to wcale nie mleko matki. Tylko mocne trunki. Nic innego nie robiłem w wolnym czasie. Siedziałem w domu i chlałem. Ale potem pewnego dnia znienawidziłem siebie i przestałem. I zrobiłem też coś jeszcze.

- Mianowicie?

- Postanowiłem zająć się trochę tematem terroryzmu. Moja żona i córka zginęły w zamachu terrorystycznym w piękny, słoneczny dzień w Atenach. Tak samo jak wszyscy inni zebrani wtedy na tamtym placu,

były niewinne. Chciałem się dowiedzieć, kto i dlaczego się tego dopuścił, toteż przez cały rok czytałem, rozmawiałem ze specjalistami, poznawałem islamski fundamentalizm i prawdę o ugrupowaniach terrorystycznych. Mniej więcej cztery miesiące temu pozbyłem się resztek poczucia winy. Swoim spóźnieniem w żaden sposób nie przyczyniłem się do śmierci żony i córki. Zginęły od bomby okrutnych tchórzy, którzy prowadzą swoje walki w imię islamu.

Alexa dotknęła jego ręki.

- Dowiedziałeś się, które ugrupowanie wysadziło wtedy autobus z amerykańskimi turystami?

- Chyba się domyślam, podobnie zresztą jak władze kilku krajów. Ale najważniejsze, że zrzuciłem poczucie winy. Stałem się znów normalnym człowiekiem.

- Tak się cieszę, Tom, że potrafiłeś wreszcie złagodzić swój ból... - powiedziała Alexa, lecz urwała, kiedy podszedł kelner, żeby zebrać talerze.

Gdy już zostali sami, Tom spytał cicho:

- Pójdiesz ze mną do domu?

- Przecież wiesz, że pójdę. Bo dokąd niby mielibyśmy iść?

Stali w przedpokoju u Toma, nareszcie sami, chociaż teraz dziwnie umilkli, tylko wpatrywali się w siebie intensywnie.

Dosłownie czuł narastające między nimi napięcie. W jednej chwili ruszyli do siebie, omal się zderzyli.

Tom przytulił Alexę. Przywarła do niego całym ciałem. A kiedy zaczął ją namiętnie całować, odpowiedziała nie mniejszą namiętnością. Drżała na całym ciele, rosło w niej podniecenie. Torebka i szal wypadły jej z rąk, ale nie podnosiła ich z podłogi, bo Tom już prowadził ją do sypialni.

Tam pociągnął ją na łóżko i obsypał pocałunkami. Zaczął głaskać jej piersi. Z gardła wyrwał jej się jęk. Zanurzyła ręce w jego gęstych ciemnych włosach. Zelektryzowało ich pożądanie, każde z nich pragnęło zaważać drugim i jednocześnie poddać się drugiemu do końca.

Wtem Tom nieoczekiwanie przestał ją całować, podparł się na łokciu i spojrzał na nią wzrokiem pełnym tklivości. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, bo nie chciał psuć uroku chwili ani studzić żaru ich uczuć.

Alexa dojrzała tęsknotę i pożądanie w jego oczach. Aż coś ją chwyciło za gardło. Upewniła się, że nic się nie zmieniło. Tak bardzo kochała Toma, iż wszystko inne przestało się dla niej liczyć.

Dotknął palcem jej ust, nachylił się i szepnął:

- Rozbierz się, kochana.

## Rozdział dziesiąty

Leżeli wśród skotłowanych poduszek i wymiętej pościeli, odpoczywając w półmroku sypialni.

Dla Alexy ich namiętny seks stanowił jedynie potwierdzenie tego, co wiedziała w głębi serca przez cały czas. Że kocha Toma Connorsa, zawsze go kochała i nigdy nie przestanie. Nic tego nigdy nie zmieni.

Teraz przekonała się, iż Tom także ją kocha, w co zresztą nigdy nie zważyła.

Przekręciła się, Tom przytulił ją mocniej. Spojrzał na nią oczami pełnymi miłości.

- Alexo, chcę być z tobą. Wierzę, że jeśli oboje zechcemy, to nam się uda.

- Z całą pewnością. - Musnęła delikatnie jego policzek, pocałowała lekko w usta. - Zobaczysz, Tom. Wszystko się ułoży.

Uśmiechnął się, kiedy mościła się w jego ramionach. Przytulił twarz do jej głowy, znów wracając myślą do przeżytego dopiero co wieczoru. Jak cudownie było znów ją zobaczyć, patrzeć na nią, kochać się z nią, trzymać ją w ramionach... Był szczęśliwy.

Odprężył się, zamknął oczy i zrozumiał, że ból wreszcie ustał. Straszliwy ból, z którym żył przez tyle lat, cudem ustąpił. Tom odzyskał wewnętrzny spokój.

- Skąd to zdjęcie znalazło się w twoim albumie? - spytał Tom, patrząc na Alexę, kiedy wyszła z hotelowej łazienki. Była niedziela rano. Wrócili do Meurice, żeby Alexa mogła się przebrać do obiadu. Czeka-  
jąc, Tom, jak zawsze ciekawski, wziął do ręki album ze zdjęciami.

- O które pytasz?

- O to - odrzekł, podsuwając album.

Alexa pochyliła się i zapatrzyła w pokazaną fotografię. Przedstawiała Jessikę i Luciena na Pont des Arts. Sfotografowała ich kilka tygodni przed dyplomem.

- To Jessika Pierce - powiedziała i spojrzała na Toma. - Chodziła ze mną do szkoły Anyi.

- Pytam o mężczyznę. To sąsiad moich rodziców.  
Alexa aż rozdziawiła usta.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła. - Lucien zginął...

- Jaki Lucien? - przerwał jej Tom.

- Tak się nazywa. Lucien Girard.

- Nie, chyba się mylisz - sprostował Tom, kręcąc głową. - Ten mężczyzna u boku Jessiki to Jean de Beauvais-Cresse. Mieszka w Dolinie Loary.

Alexa na chwilę zaniemówiła, po czym usiadła na krześle naprzeciwko Toma.

- Jesteś pewien?

- Hm - zamruczał Tom.

Wziął do ręki album. Jeszcze raz się uważnie przyjrzał.

- Tak, prawie jestem pewien, że to Jean de Beauvais-Cresse. Nie sądzę, żebym się mylił. Musiał tu mieć ze dwadzieścia kilka lat. Kiedy je zrobiłaś?

- Mniej więcej siedem czy osiem lat temu.

- Znam tego mężczyznę... no, może to za dużo powiedziane. Ale wiem, kim jest. Ma teraz ponad trzydziestkę. - Tom utkwił w niej spojrzenie. - To Jean, tyle że młodszy.

Alexa zagryzła wargę i pokręciła głową.

- W takim razie musiał niegdyś prowadzić podwójne życie. A w każdym razie podawał się za Luciena Girarda.

- Opowiedz mi o nim i o Jessice, Alex.

- Niewiele jest do opowiadania. Poznali się, spotykali. W krótkim czasie zakochali się w sobie. Mieli się pobrać, ale pewnego dnia Lucien zniknął. Jessika wszędzie go szukała, ale na próżno. W końcu zaniechała prób i wyjechała do Stanów.

Tom pokiwał głową.

- A co wtedy robił Lucien Girard? Też się uczył? Pracował? Czy co?

- Nie uczył się. Był aktorem. Niezbyt znanym. Dostawał tylko małe role, ale podobno cieszył się dobrą opinią.

Alexa wstała, podeszła do okna, popatrzyła na ogrody Tuileries po drugiej stronie ulicy. Wróciła do krzesła i spojrzała na Toma.

- Jeżeli Lucien i Jean to jeden i ten sam człowiek, Jessika ma prawo o tym wiedzieć.

Tom przekrzywił głowę.

- Ledwo znam Jeana de Beauvais-Cresse, ale mógłbym zadzwonić do ojca i go podpytać.

- Naprawdę mógłbyś? - ożywiła się Alexa.

- Oczywiście. Zadzwonię po obiedzie.

Alexa raptem się zerwała.

- Och, muszę się ubierać. Przecież nie możemy się spóźnić do Anyi. Dla niej niedzielny obiad to niemała uroczystość.

## Rozdział jedenasty

Anya Sedgwick ogarnęła swój salon na piętrze taksującym wzrokiem. Uznała z zadowoleniem, że prezentuje się wyjątkowo przytulnie i gościnnie. Czerwone i żółte tulipany ożywiały pięknymi jaskrawymi plamami różne zakątki pomieszczenia, a ogień płonął dziarsko na kominku. Chociaż był kolejny słoneczny majowy dzień, w powietrzu czuło się rześkość, toteż Anya poprosiła ochmistrzynię, żeby napaliła w kominku. Lubiła ogień w tym pokoju, nawet wiosną i latem. Zadzwoił telefon, odebrała.

-Halo?

- Tu Nicky. Dzień dobry. Dzwonię, żeby cię przeprosić, ale...

- Tylko nie mów, że nie przyjdiesz na obiad.

- Pojawił się pewien problem.

-Jaki?

- Maria boi się spotkania z Alexą.

- Wobec tego niech lepiej przezwycięży strach, bo jeśli nie dziś, to i tak ją to czeka. Postanowiłam raz na zawsze zakończyć ich swary, Nicky.

- Pozostałe dziewczęta też się dzisiaj zjawiają? - spytał spiesznie.

- Nie. Tak jak ci mówiłam, będzie tylko Alexa z Tomem.

- Zeszli się?

- Tego do końca nie wiem. Wiem tylko, że wczoraj wieczorem zjedli razem kolację.

Nicky westchnął.

- Mam nadzieję, że uda mi się ją przekonać.

- Nicky, mówisz teraz jak mięczak. Okaż stanowczość. Albo nie. Poproś Marię do telefonu. Sama z nią porozmawiam.

- Och, ja nie...

- Tylko nie stawaj mi teraz okoniem. Wiem, że jesteście razem; albo w twoim mieszkaniu, albo w jej hotelu. Przecież widzę, jak ten romans dodaje wam obojgu sił. Daj mi ją do telefonu, i to natychmiast.

- No dobrze, już dobrze.

Po chwili w słuchawce odezwała się cicho Maria:

- Dzień dobry, Anyu.

- Dzień dobry, kochanie. Czekam na was z obiadem o pierwszej. Proszę cię, nie spraw mi zawodu. Bardzo mi dziś zależy na twojej obecności.

- Dobrze, Anyu, przyjdziemy. Możemy się tylko trochę spóźnić.

- Spróbuj się pospieszyć, Mario. Nie każ mi długo czekać.

- Oczywiście. Pospieszymy się - obiecała Maria i odłożyła słuchawkę. Anya wstała, podeszła do kominka i stała tak chwilę, rozmyślając o Nickym i Marii. Od czasu jej przyjazdu do Paryża widziała ich razem już kilka razy. Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że są zakochani. Miała tylko nadzieję, że Nicky załatwi sprawę z żoną.

Nie ulegało też wątpliwości, że Alexandra i Tom Connors zeszli się poprzedniego wieczoru. Kiedy Alexa oddzwoniła do niej rano, Anya spytała ją zresztą wprost. Dziewczyna potwierdziła, dodając, że cudownie im razem. Anya uwielbiała to wyrażenie, uśmiechnęła się do siebie. Z całą pewnością chciała, żeby Alexa czuła się z Tomem cudownie.

Nie minęło dziesięć minut, a do salonu wpadła jej ulubiona uczennica, cała radosna, a za nią uśmiechnięty od ucha do ucha Tom.

- Witaj, Anyu! - zawołała Alexa, podbiegła do kominka, wyściskała Anyę. A do jej ucha szepnęła: - Taka ci jestem wdzięczna, że kazałaś mi zadzwonić. On jest cudowny.

- Cieszę się, Alexo, że jesteś. I ty też, Tom.

Anya podała rękę Tomowi, który uścisnął ją energicznie.

- Dziękuję, Anyu, za zaproszenie. Miło cię zobaczyć po tylu latach.

- Świetnie wyglądasz, Tom - odpowiedziała, nie przestając się uśmiechać. - Czego się napijecie?

Spojrzała w stronę kredensu w kącie, na którym stały butelki z trunkami i kieliszki. Były też dwa srebrne wiaderka z lodem.

- Wiem, że Alexa napije się szampana, Anyu. Ja też chętnie - odparł Tom. - Pozwól, że naleję. A co dla ciebie?

- Ja też poproszę *Veuve Clicquot*, Tom.

Anya przyglądała się, jak Tom nalewa szampana do wysokich kieliszków. Pamiętała, że zawsze był nienagannie ubrany. I dzisiaj podobnie. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę w kratkę, granatowy krawat, granatowy sweter, mocno dopasowane džinsy. Pewno szyte na miarę, pomyślała Anya.

Stanęli przed kominkiem, trącili się kieliszkami, wznieśli toast.

- Spodziewasz się dziś na obiedzie Nicky'ego? - spytała Alexa.

- Owszem. Przyjdzie z Marią Franconi.

- Och nie! - zawołała Alexa, zanim ugryzła się w język.

- Och tak! - odparowała Anya. - I lepiej, żebyś przywykła do ich wspólnej obecności, skoro masz z nim pracować. Bo są teraz parą. Zresztą mam nadzieję, że ty, Maria, Kay i Jessika wreszcie dojdziecie do porozumienia. Pod koniec tygodnia wydaję dla was pojednawczy obiad. Żadna nie powiedziała mi jeszcze, co właściwie was poróżniło.

Uniosła pytająco brew.

- Tak się składa, że wszystko zaczęło się od Marii - powiedziała po chwili Alexa. - Ale ponieważ zaraz ma tu przyjść, nie chcę się w to teraz zagłębiać.

Alexa podeszła do kanapy i usiadła, Any a spoczęła przy niej. Tom zajął miejsce obok w fotelu, odstawił kieliszek na stolik do kawy. I zwrócił się do Anyi:

- Alexa chciałaby porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym, prawda, Alexo?

Oczywiście domyśliła się, że chodzi mu o Jessikę i Luciena, ale zaskoczona, na chwilę zaniemówiła. W końcu odzyskała głos.

- Według mnie, Tom sam powinien ci powiedzieć, co zaszło dziś rano. Odstawiła kieliszek, sięgnęła do torebki na podłodze, otworzyła.

- Czekałem w hotelu, aż się Alexa przebierze i zacząłem przeglądać jej album ze zdjęciami. Zobaczyłem zdjęcie mężczyzny, który jest sąsiadem moich rodziców nad Loarą. Zdziwiłem się też, skąd Alexa ma jego fotografię.

Alexa wręczyła Anyi album otwarty na zdjęciu Jessiki z Lucienem Girardem.

Anya spojrzała na zdjęcie, potem na Toma.

- Tak, to Lucien. A twoim zdaniem kto?

- Jean de Beauvais-Cresse, sąsiad moich rodziców.

- Może jego krewny - podsunęła Anya.

- Niewykluczone - podchwycił Tom. - Jednakże Alex uważa, że powinna porozmawiać o tym z Jessiką.

Alexa pokiwała głową.

- Może cię to zdziwi, Anyu, ale mam dziwne przeczucia co do tego zdjęcia. I nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Niby nie mamy żadnych konkretów - powiedział Tom - ale zadzwonię do taty i spróbuję zasięgnąć języka. Może pomoże nam rozwikłać zagadkę Jeana i Luciena Girarda...

Urwał, bo do pokoju wszedł Nicky z Marią Franconi.

- Wybaczcie spóźnienie - przeprosił Nicky. Pocałował Anyę, ścisnął Alexę za ramię, potrząsnął ręką Toma. - Tom, tak się cieszę! Poznaj Marię Franconi, bo chyba nie mieliście okazji.

Maria uśmiechnęła się, podała Tomowi rękę.

- Bardzo mi miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Tom szarmancko.

Maria cmoknęła Anyę w policzek i spojrzała na Alexę, która siedziała na kanapie. Zdobyła się na uśmiech.

- Cześć, Alexo.  
- Witaj, Mario - przywitała ją Alexa chłodno, bez uśmiechu.  
- Nicky, bądź tak dobry i nalej Marii szampana - poprosiła Anya.  
- Oj nie, dziękuję, wolę wodę - zastrzegła Maria.  
- Już idę, skarbie - powiedział Nicky, kierując się w stronę baru. - Ale ja chętnie napiję się szampana.  
- Siadaj, Mario, kochanie. - Anya wskazała jej krzesło obok siebie.  
- Obejrzałam dokładnie zdjęcia, które Nicky ostatnio mi zostawił. Nie-samowite są te twoje obrazy.

Maria zrobiła zadowoloną minę.

- Dziękuję, Anyu. Nawet nie wiesz, ile znaczy dla mnie twoje zdanie. Nicky przyniósł Marii wodę i stanął przy kominku, mierząc całą grupę wzrokiem. Po chwili napił się szampana i wznosił toast:

- Wasze zdrowie.

- Zdrowie - zawtórował Tom.

- Sante, Nicky, kochanie - powiedziała cicho Anya.

Alexa tylko uniosła kieliszek z uśmiechem, po czym zerknęła kątem oka na Marię. Anya wcale nie przesadzała. Maria Franconi naprawdę wypiękniała.

Nicky spojrział na Toma i powiedział:

- Czyżby mnie słuch mylił? Mówiłeś coś o Lucienne Girardzie?

W pokoju zapadła cisza.

Tom popatrzył na Alexę, wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Anya wtrąciła szybko:

- Och, Nicky, nic ważnego. Tomowi coś się niedawno przypomniało. Wiem, że kucharz przygotował jakąś ekstraprzystawkę, proszę więc, byście dopijali drinki.

Nicky wziął Anyę pod rękę i poprowadzili całe towarzystwo do jadalni, z której rozciągał się widok na dziedziniec i ogród.

Anya urządziła ją w bogatej gamie zieleni, dodając gdzieś akcenty bieli. W połączeniu z powiewającymi białymi organdyowymi zasłonami, ciemnym parkietem i morzem kwitnących na biało roślin, pokój wyglądał świeżo i przestronnie.

Zatrzymawszy się przy okrągłym stoliku z politurowanego drewna ci-sowego, obstawionego pięcioma krzesłami z tapicerką w zielono-białe prążki w stylu Ludwika XV, Anya oparła rękę na krześle i poprosiła:

- Mario, usiądź po mojej lewej. Tom, bądź łaskaw zająć miejsce po prawej. Alexo, kochanie, siadaj obok Toma, a ty, Nicky, między Alexą a Marią.



Uśmiechnęła się, zajęła swoje miejsce.

- Tak będzie najlepiej - skomentowała, patrząc przez stół na Nicky'ego. - Nalej, proszę, białego wina chętnym. Do drugiego dania będzie wyborne czerwone.

Nicky nalał wina, a ochmistrzyni weszła z wielką tacą. Niebawem każdy z gości dostał własny suflet serowy. Wszyscy głośno wyrażali zachwyt.

- Delikatny jak puch - pochwalił Nicky. Wszyscy się uśmiechnęli, lecz Anya zauważyła, że Alexa i Maria unikają kontaktu.

Kiedy wyniesiono talerze po sufletach, Nicky nalał wina Mouton Rothschild wszystkim poza Marią, której Tom podał wodę mineralną. Niedługo potem ochmistrzyni wróciła z półmiskiem pieczonego udźca jagnięcego oraz półmiskiem warzyw gotowanych na parze i pieczonych ziemniaków. Rozmowa przy stole toczyła się ospale, wszyscy bowiem rozkoszowali się jedzeniem i delektowali czerwonym winem.

Po obiedzie Anya zaprosiła wszystkich do salonu na kawę. Nalewała, kiedy Tom stanął nad nią i spytał:

- Anyu, czy mógłbym skorzystać z telefonu?

- Oczywiście - powiedziała. - Najbliższy aparat znajdziesz w końcu korytarza.

Gdy Tom wyszedł, Alexa zastanawiała się nad tym, czy wspomnieć Nicky'emu o Lucienie Girardzie. Jednak wyraźnie peszyła ją obecność Marii. Jakoś wciąż jej nie ufała.

Ależ ona się jednak zmieniła. Już w szkole się przejadła, dlatego zawsze była przy kości. Ładna buźka, ale trochę za pulchna jak na młodą dziewczynę.

Może teraz jeszcze nie była szczupła jak trzcina, ale na najlepszej drodze. Prezentowała niewymuszoną elegancję w ciemnobordowych spodniach i dobranym pod kolor wełnianym żakiecie, a nieziemska twarz i grzywa czarnych włosów przydawały jej uroku gwiazdy filmowej.

Nic dziwnego, że Nicky się zakochał, pomyślała Alexa, siadając obok niego na kanapie. Wzięła do ręki filiżankę z kawą i pociągnęła łyk.

- Nie mogę się już doczekać twojego scenariusza, Nicky. Kiedy go przeczytam, Tom zawiezie mnie nad Loarę. Twierdzi, że tam znajdę sporo różnych domów nadających się idealnie na scenerię do tego filmu.

- Może byśmy wszyscy skoczyli tam na weekend - zaproponował z entuzjazmem Nicky.

Alexa aż usta rozdziawiła z zaskoczenia.

- Chyba żartujesz!

- Wiem, że się boczysz na Marię - odparł nie zrażony niczym Nicky.

- Opowiadała mi o tym. Ale, szczerze mówiąc, uważam, że obie powin-

nyście dojrzeć i zachowywać się, jak przystało dorosłym kobietom, którymi w końcu jesteście.

- O właśnie! - przykłaśnęła Anya. - Czas się z tym rozprawić.

Maria, wyraźnie zmieszana, podeszła wolnym krokiem do kominka.

Usiadła na brzeжку krzesła i powiedziała cicho:

- Alexo, przepraszam, że przysporzyłam ci kiedyś tylu zmartwień. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale byłam młoda, nie chciałam...

- Zdradziłaś mnie! - warknęła Alexa.

- Nie chciałam! To wynikło niechcący... potem było mi tak przykro.

Alexa wbiła w nią wzrok.

- Riccardo nigdy mnie nie interesował. Wszystko rozegrało się wyłącznie w twojej głowie. I tak bardzo rozdmuchałaś sprawę, że podpuściłaś Jessikę, która potraktowała mnie wstrętnie. Uwierzyła ci, wzięła twoją stronę i zerwała naszą przyjaźń.

- Powtarzam, bardzo mi przykro - przeprosiła Maria raz jeszcze. Na jej twarzy, bladej jak papier, malowały się skrucha i smutek.

- Zazdrościłaś nam przyjaźni - wycedziła Alexa.

- Nieprawda.

Maria wyglądała, jak gdyby zaraz miała się rozplakać.

- No, dość już, dziewczęta - przerwała Anya stanowczo. - Zapraszam was obie jutro rano na kawę. Zaproszę też Jessikę i Kay, wyjaśnimy sobie wszystko raz na zawsze. A na razie odłożmy spory. To nie jest czas, by je załatwiać.

Do pokoju wrócił Tom, a Alexa wyczytała z jego twarzy, że musiał dowiedzieć się czegoś od ojca.

- W porządku, Tom. Możesz mówić tutaj.

Zdziwiony, uniósł pytająco brwi.

Alexa skinęła głową, po czym zwróciła się do Marii.

- Sprawa ma związek z Lucienem Girardem. Tylko ani słowa Jessice, zrozumiałaś, Mario?

- Tak. Nie pisnę Jessice ani słówka. Zresztą nikomu.

Nicky, zaintrygowany, spytał:

- Ale o co chodzi, Tom?

Tom znów spojrzał na Alexę. Skinęła głową, wobec czego wyjaśnił wszystko od początku, zaczynając od zdjęcia w albumie.

- Przyznaję, że sytuacja nie jest do końca jasna, ale kilka informacji ojca mnie zastanowiło. Być może chodzi o tego samego mężczyznę.

Nicky wyprostował się, nasrożył.

- Nie znałem zbyt dobrze Luciena, Tom, ale nie podejrzewałbym go o prowadzenie podwójnego życia. I niby kto jest tak do niego podobny?

- Mężczyzna po trzydziestce nazwiskiem Jean de Beauvais-Cresse. Sądziłem, że może być spokrewniony z Lucienem. Na przykład, że Lucien był jego bratem, używającym pseudonimu. Ale ojciec powiedział mi, iż jedyny brat Jeana zmarł jakieś siedem lat temu.

Maria i Alexa wymieniły spojrzenia.

-I co ci jeszcze powiedział? - spytała Anya.

- Że ten brat był starszy i że zginął w strasznym wypadku. Jego przedwczesna śmierć spowodowała wylew u ojca. Najwyraźniej bardzo kochał syna, zresztą dziedzica tytułu i zamku. Jean wcześniej mieszkał w Paryżu, ale po tym, co się wydarzyło, wrócił, żeby się nim zająć. Po jego śmierci odziedziczył wszystko.

- Twoim zdaniem, mogłoby to współgrać ze zniknięciem Luciena? - spytała Alexa.

Tom pokiwał głową.

- W każdym razie czas się zgadza.

- Ustalmy fakty. Lucien Girard znika siedem lat temu. Siedem lat temu ginie również nagle starszy brat Jeana, toteż Jean zostaje spadkobiercą. A jeżeli to Lucien, paryski aktor, był owym starszym synem, którego dosięgło fatum?

- Rozważałem i taką możliwość - odparł Tom. - Ale ojciec powiedział mi, że ów brat był o wiele starszy od Jeana. O całe piętnaście lat.

- Czyli Lucien i Jean mogą być jedną osobą - podchwyciła Anya.

- Ojciec obiecał, że zasięgnie dyskretnie języka. Jutro mam do niego zadzwonić. Tymczasem nie wspominajcie o tym Jessice.

Anya oparta się wygodniej, przymknęła na chwilę oczy. Coś jej chodziło po głowie, ale nie potrafiła tego uchwycić. Na razie więc dała spokój.

Wychodząc od Anyi, Tom wsunął sobie rękę Alexy pod pachę, po czym ruszyli razem w stronę rue de Solferino i nabrzeża Sekwany.

Było ciepłe i słoneczne niedzielne popołudnie, bezchmurne niebo nad miastem wznosiło się jak przejrzyste sklepienie. Siódma Dzielnica, którą szli, stanowiła elegancką część miasta, a mieszkanie Toma przy Faubourg St.-Germain znajdowało się nieopodal. Również w pobliżu usytuowane były tak ważne zabytki jak gmach Akademii Francuskiej i Pałac Inwalidów z kościołem, w którym mieścił się grób Napoleona. Ale Tom i Alexa minęli te historyczne budowle, zmierzając w stronę nabrzeża Anatole-France.

Szli jakiś czas bulwarem, napawając się sobą, pogodą, przepięknymi widokami Sekwany. Przed nimi dźgały niebo wspaniałe wieże Notre Dame, spowite teraz szklistą mgiełką w popołudniowym świetle.

Kiedy doszli do nabrzeża Malaquais, Tom powiedział:

- Wstąpmy po drodze na kawę na St.-Germain-des-Pres.

Alexa skinęła głową na znak zgody. Trzymając się za ręce, poszli rue Bonaparte i zapuścili się w gąszcz starych, brukowanych uliczek. W „Cafe Voltaire” znaleźli stolik na zewnątrz i usiedli pod markizą, żeby odpocząć po długim spacerze. Tom zamówił dla obojga kawę, rozluźnił krawat, rozpiął koszulę pod szyją..

- Ciepło się zrobiło - powiedział, spoglądając na nią. - Może zdejmiesz sweter?

- Dobry pomysł. - Zdjęła kaszmirowy sweter wiązany pod szyją, położyła sobie na kolanach. I zwróciła się do Toma. - Czy ojciec powiedział ci coś jeszcze?

- Właściwie to nie. Powiedział tylko, że tego Beauvais-Cresse nieczęsto widują we wsi. Podobno facet ma żonę i dziecko, ale nic więcej nie wiem. Moi rodzice mieszkają nad Loarą od niezbyt dawna, dlatego tata poprzestaje na miejscowych pogłoskach.

- Rozumiem. - Alexa urwała, zapatrzyła się przed siebie.

Po chwili Tom spytał cicho:

- Coś się stało? Bo tak się zamyśliłaś.

Westchnęła.

- Myślałam o Lucienie Girardzie. Jeżeli to rzeczywiście Jean de Beauvais-Cresse, który postanowił wrócić do dawnego życia, to musi być doprawdy okrutnym człowiekiem. Wyobraź sobie, że mógłbyś zrobić coś takiego Jessice albo jakiegokolwiek innej kobiecie. Wiem, jak straszliwie to przeżyła. I chyba nadal nie wybiła go sobie z głowy.

Zasepił się.

- Naprawdę tak uważasz?

- Owszem. - Westchnęła. - Dlatego tak mnie to oburza. - Znow utkwiała wzrok w przestrzeni, ale po chwili zwróciła się do Toma, położyła mu rękę na ramieniu. - Muszę dowiedzieć się prawdy.

- Aż tak ci zależy? - spytał Tom ze zdziwieniem.

Kelner przyniósł kawy. Gdy odszedł, Alexa oznajmiła:

- Mam taki plan. W przyszłym tygodniu pojedziemy razem z Jessiką nad Loarę. Pod domem Jeana Jessika zostanie w samochodzie. Ty zapukasz do drzwi i jeśli Jean otworzy, powiesz mu, że masz klienta, który chciałby kręcić film i szuka odpowiednich wnętrz. A kiedy zajmiesz Jeana rozmową, wysiądę z Jessiką z samochodu i podejmiemy do ciebie. Jeżeli to Lucien, od razu go poznamy. Przeżyje szok.

Tom pokiwał głową.

- Rozumiem. A jeśli nie, to żadnej z was nie pozna, tak?

- Zgadza się.
- Jest tylko jeden szkopuł, Alex. Boję się, żeby to nie otworzyło dawnych ran Jessiki.
- Masz rację, może tak być. Ale też ostatecznie rozwiąże ciągnącą się siedem lat zagadkę. Nie uważasz, że wyjdzie to dziewczynie na dobre? Tom nie mógł się z tym nie zgodzić.
- Widzę, że mimo tej waszej kłótni pozostałaś przyjaciółką Jessiki. Podziwiam cię za to - powiedział. - Masz dobre serce, moja słodka Alex.

## Rozdział dwunasty

Tak się cieszę, że przyszedłaś wcześniej - powiedziała Anya, uśmiechając się do Alexy. - Chciałam omówić z tobą kilka spraw przed przybyciem pozostałych.

Siedziały w niewielkiej bibliotece wychodzącej na ogród. Był kolejny piękny dzień, a szeroko otwarte drzwi balkonowe ukazywały widok na brukowany dziedziniec z drzewem wiśni pośrodku.

- Zatem do rzeczy. - Anya poprawiła się na krześle. - Zamierzam was dzisiaj pogodzić, Alexo. Ten spór staje się już śmieszny. Chciałabym, żebyś to ty doprowadziła do ogólnego pojednania.

- Postaram się. Rzeczywiście po wczorajszym starciu z Marią zrozumiałam, że nie mam więcej ochoty na kłótnie. Za dużo mnie kosztują.

Anya pokiwała głową.

- Cieszę się z twojej pojednawczej postawy. Kiedy już zażegnacie dawne spory, zabieram was wszystkie na obiad.

- Och, cudownie! - zawołała Alexa. - Ale to ty powinnaś dać się zaprosić. Do jakiegoś wytwornego lokalu. Teraz już nas stać na to.

Anya się roześmiała.

- I jeszcze jedno, Alexo. Chciałabym, żeby Nicky zaprosił Toma na moje przyjęcie. Sądysz, że przyjdzie?

- Z całą pewnością. - Alexa uśmiechnęła się promiennie.

- Tak sądziłam. Poproszę Nicky'ego, żeby mu wysłał zaproszenie. Powiem też Kay, żeby zaprosiła męża. Maria, rzecz jasna, przyjdzie z Nickym. Tylko nie wiem, co z Jessiką. Czy bawi tu sama, czy z kimś?

- Jeszcze się z nią nie widziałaś?

- Nie, kochanie. Kilka razy zapraszałam ją, żeby wpadła na drinka albo na obiad, ale zasłania się pracą. Chyba jednak unika mnie celowo.

- Ale dlaczego?

Anya wydeła usta, po czym wyjaśniła:

- Kojarzę jej się z przeszłością, zwłaszcza z zaginięciem Luciena.

Chyba trochę się boi tego spotkania. Nie chce budzić dawnych upiorów.

- Wiem. Ale na pewno dziś się otworzy. Dowiemy się, czy jest sama, czy nie. Zrobię wszystko, żeby się dobrze poczuła. I Kay też.

-I Maria. Nie zapominaj o Marii, Alexo. Wczoraj była bardzo zdenerwowana. Chyba się ciebie bała.

- Pewno przesadziłam z tą zawziętością - przyznała Alexa. Westchnęła, zmieniła pozycję na krześle. - Będę miła, przyrzekam.

Po chwili Anya wstała, podeszła do drzwi, uśmiechnęła się szeroko.

- Witaj, Jessiko! Tak się cieszę, że cię widzę!

- Ja też, Anyu. Ile to już lat!

Wyściskały się, po czym Anya cofnęła się o krok i przyjrzała się Jessice z aprobatą.

Doprawdy, wyrosła na wspaniałą kobietę. Nader elegancko prezentowała się w dobrze skrojonym czarnym kostiumie ze spodniami, w białej jedwabnej bluzce. Długie blond włosy spływały z obu stron pięknie opalonej twarzy. Ta amerykańska piękność nie straciła nic z urody sprzed siedmiu lat. Tyle że w jej oczach czaił się smutek. Anya była pewna, że Jessica w głębi duszy wciąż tęskni za Lucieniem. Chociaż miała trzydzieści jeden lat, nie wyszła jeszcze za mąż.

- Wejdz, proszę. Nie stójmy tak w progu! - ocknęła się Anya. Wzięła Jessikę pod ramię, poprowadziła do pokoju. - Jest już Alexa. Pozostałe dziewczęta też zaraz przyjdą.

Alexa wstała, podała jej rękę.

- Witaj, Jessiko. Wieki cię nie widziałam - rzekła, siląc się przy tym na życzliwość.

Jessika przekrzywiła nieco głowę, odwzajemniła uścisk ręki.

- Witaj, Alexo.

Alexa aż się skuliła w sobie. Taki chłód wyczuła w głosie Jessiki. Anya natychmiast to wychwyciła i wpadła w popłoch. Najwyraźniej ogromna niechęć przetrwała mimo upływu czasu.

- Siadaj, Jessiko - poprosiła i sama spoczęła na kanapie.

Dziewczyna usłuchała, rozejrzała się, po czym dodała już ciepłej:

- Zapomniałam, jaką masz piękną bibliotekę, Anyu.

- A ja muszę przyznać, że jestem dumna z twojej pracy. Od lat zachwycam się domami i mieszkaniami, które zaprojektowałeś, bo oglądam je w czasopiśmie. Moje gratulacje.

- Dziękuję. Wszystkiego nauczyłam się w twojej szkole.  
- Dobrze wiesz, że szkoła nie nauczy gustu ani smaku. Masz wrodzone wyczucie stylu i niezrównany gust, Jessiko. Zawsze ci to powtarzałam.  
- Fakt. I pomogłaś mi urzeczywistnić marzenia zawodowe. Odebrałam najlepsze wykształcenie na świecie. Niezmiernie mi się przydała znajomość historii Anglii i Francji, a także meblarstwa europejskiego przez stulecia, nie mówiąc o historii tkanin oraz architektury. Tyle mnie nauczyłaś, Anyu.

Anya usiadła wygodniej i spytała:

- Jessiko, przyjechałaś do Paryża sama?  
- Owszem.  
- Pytam dlatego, że może chciałabyś, by ktoś ci towarzyszył podczas mojego przyjęcia.

Jessika zamrugła i skinęła głową. Twarz jej opromienił uśmiech.

- Z towarzystwem nie będę miała kłopotu. Jeden z moich klientów bawi akurat w Paryżu. Nazywa się Mark Sylvester. Jest producentem filmowym z Hollywood.

- Bardzo się cieszę. A gdzie się zatrzymał, kochanie?

- W Plaza Athenee. Uprzedzę go, żeby oczekiwał zaproszenia. Ty o wszystkim pomyślisz, Anyu.

W tejże chwili wparadowała Maria - olśniewająca w czarnej spódnicy do kostek i w dobranym żakiecie. Pod nim miała czarną jedwabną bluzkę z dekoltem. Długą szyję ozdobił złoty naszyjnik ze starych medalionów, między puklami czarnych włosów lśniły kolczyki do kompletu. Wygląda naprawdę smukło i gibko, pomyślała Anya.

Ale na widok Jessiki, zajmującej krzesło przy kominku, Maria stanęła jak wryta.

Wtedy Anya podniosła się, wyszła Marii na spotkanie, objęła ją.

- Wyglądasz cudownie - pochwaliła, chcąc dodać jej pewności siebie.  
- Jeszcze tylko brakuje Kay.

Ledwie to wypowiedziała, w drzwiach wejściowych ukazała się Kay, wołając:

- Ojej, czyżbym się spóźniła? Stokrotnie przepraszam.

Anya obejrzała się, uśmiechnęła do przybyłej, potrząsnęła głową.

- Nie, bynajmniej. Ale skoro już jesteś, kochanie, przejdźmy do rzeczy. -I wprowadzając Marię i Kay do pokoju, wyjaśniła: - Rzecz w tym, że pragnę zakończyć dawne nieporozumienia między wami.

Alexa zrozumiała, że teraz jej kolej, by wykonać jakiś gest. Podeszła więc do kominka, stanęła przed nim.

- Cześć, Mario. Cześć, Kay.

Koleżanki przywitały się z nią, aczkolwiek z pewną rezerwą,

- Anya prosiła, żebym z wami porozmawiała - wyjaśniła Alexa. - Nie chce, żeby nasze niesnaski zmąciły jej przyjęcie. Uznała, że czas zakończyć nasze waśnie. Dlatego musimy chyba porozmawiać o tym, co nas poróżniło.

- Musicie oczyścić atmosferę - dodała Anya i oparła się wygodniej. Alexa rozpięła zakiet, włożyła ręce do kieszeni czarnych spodni i ciągnęła dalej:

- Wczoraj miałam okazję porozmawiać z Marią. Niech więc ona wam wyjawi, do czego doszliśmy. A potem może Jessica się wypowie.

Maria zrobiła zdziwioną minę. Potem wyprostowała się na krześle, potoczyła po zebranych wzrokiem, a w końcu odezwała się z ociąganiem:

- Wczoraj Alexa postawiła mi zarzut. Twierdziła, że nakłamałam Jessice na jej temat. Ale to nieprawda...

- Owszem, prawda! - wtrąciła bezceremonialnie Alexa. I aż cofnęła się krok do tyłu. - Och, przepraszam, że ci przerwałam. Mów, Mario.

Maria rzuciła okiem na Jessikę i rzekła:

- Wcale cię nie okłamałam. Powiedziałam tylko to, co uważałam za prawdę. Że Alexa flirtuje z moim chłopakiem, Riccardem, i próbuje mi go podkraść.

Alexa znów musiała się ugryźć w język. Była oburzona na Marię, ale zmusiła się do zachowania spokoju.

Jessika przytaknęła:

- O tak, pamiętam. Martwiłaś się, że Riccardo zacznie kręcić z Alexą. Wypłakiwałaś oczy. A ja ci wierzyłam. - Jessica spojrzała na Alexę.

-I oczywiście stanęłam po stronie Marii.

- Ale to nie była prawda! - sprzeciwiła się Alexa: - Nie sądzisz, że powinnaś mi być bardziej zaufać, a także dać szansę obrony?

Jessika zagryzła wargę.

- Sama widziałam, jak flirtowałaś z Riccardem na przyjęciu wydanym przez mamę Angelique. Jak się do niego kleiłaś w tańcu.

Alexa oblała się pąsem i zawołała:

- Przyznaję. Tańczyłam z nim dość blisko. Ale to był tylko taniec. I nie ja flirtowałam z nim, a on ze mną. Sama wiesz, że był nie od tego. - Po tych słowach spojrzała Kay prosto w oczy. -I widziałam, jak flirtował z tobą, Kay, na twoich urodzinach.

Kay westchnęła.

- Nie przeczę. - Odwróciła się do Marii. - To prawda, że ze mną flirtował. I, jeśli chcesz wiedzieć, to chyba ze wszystkimi. Chociaż ja, szczerze mówiąc, nie byłam nim zainteresowana. I Alexa też raczej nie.



- Posłuchaj, Mario - zawołała porywczo Alexa. - Widziałas, że zaczynamy tyć. Wpadłaś w kompleksy, nie byłaś zadowolona z siebie ani ze swojego związku z Riccardem, dlatego ubzdurałaś sobie, że próbuję ci go podkraść. Obarczyłaś mnie winą, co nie było fair.

- Nieprawda...

- Prawda! Biegałaś do Jessiki, bo byłaś zazdrosna o naszą przyjaźń, i napuszczalaś ją na mnie.

Maria słuchała w osłupieniu, wpatrzona nieruchomo w Alexę. Ale nie odezwała się więcej ani słowem.

- A dlaczego nie przyszłaś do mnie? - ciągnęła Alexa. - I mi tego wprost nie powiedziałaś? Zachowałaś się jak zdrajczynie, naprawdę bardzo mnie dotknęłaś. Serce mi się krajało, że tak zupełnie bez powodu tracę przyjaźń Jessiki.

Maria wyglądała, jakby była na granicy łez. Rzuciła Jessice bezradne spojrzenie i powiedziała płaczliwym głosem:

- Jess, ja naprawdę myślałam, że Alexa chce mi ukraść Riccarda, którego tak kochałam. I dopiero teraz widzę, jak fałszywy to był zarzut. Wczoraj ją za to przeprosiłam. Dzisiaj przepraszam ciebie.

- Maria była zazdrosna o naszą przyjaźń - oznajmiła Alexa, patrząc surowo na Jessikę.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo! - wykrzyknęła Jessika.

- Chyba byłam zazdrosna - wtrąciła Maria. - Myślę, że byłam zazdrosna o waszą więź. Zdawało mi się, że tyle was łączy. Wiecznie się razem śmiałyście. Z tym samych rzeczy, Czułam się czasem odsunięta na boczny tor.

- Przecież obie jesteście Amerykankami! - zawołała teraz Jessika.

- Nic dziwnego, że nas tyle łączyło. Choćby dorastanie przy podobnych filmach, muzyce, hamburgerach, hot dogach, napojach chłodzących, smażonych bananach... poza tym w podobnych ciuchach i makijażu. Mogłabym tak ciągnąć bez końca, Mario. Nie sądziłam, że czujesz się wyobcowana. Ani Kay.

- Ale się czułam! - odparowała Kay. - I to bardzo często.

- Skończmy najpierw z Marią i Jessiką - ucięła Alexa.

Jessika pokiwała głową, wypuszczając cały zapas powietrza z płuc.

- O rany, chyba bardzo się pomyliłam siedem lat temu, Alexo. Kiedy wysłuchując żalów Marii, osądziłam cię niesłusznie. Powinnam była przedtem porozmawiać z tobą.

- Powinnaś była, ale nie chciałaś - burknęła Alexa. - Załamałaś się po zniknięciu Luciena. I wtedy to widziałam, i teraz widzę. Nie postąpiłaś fair. Po prostu przestałaś ze mną rozmawiać.

- Masz rację. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że naprawdę byłam zdruzgotana tą sprawą z Lucieniem, zupełnie załamana. A wyście nie okazały mi za wiele pomocy ani współczucia. - Prześwidrowała Alexę wzrokiem. - Więcej bym się po tobie spodziewała.

- Okazywałam ci współczucie! Ale tyś nie zwracała na mnie uwagi. Zanadto cię zajmowało oskarżanie mnie o uwodzenie mężczyzn, jak to ujęłaś. Nie zależało ci wcale na moim współczuciu, ale przede wszystkim na Alainie Bonnalu.

Jessika aż odchyliła się na oparcie krzesła. Mina jej zrzędała, łzy napływały do oczu.

- Chyba masz rację - przyznała wreszcie.

Alexa pokiwała głową i przeniosła wzrok na Marię.

- Dziękuję ci, Mario, za szczerość wczoraj i dzisiaj.

- Och, nieźle nam wszystkim zrobi, jeśli trochę oczyścimy atmosferę.

A ty, Kay? Nie masz nic do dodania?

- Ja? Bo ja wiem? Chyba nie.

- Ciekawe, dlaczego? - nagle przyparła ją do muru Jessika. - Bo za naszymi plecami miałaś tyle do powiedzenia! Wiecznie plotkowałaś.

- Co ty wygadujesz! - zawołała Kay, podnosząc głos co najmniej o oktawę. Ale przypomniała sobie, że jest teraz żoną lorda, zaczerpnęła więc tchu, by zachować godność. - Nigdy nie obmawiałam żadnej z was za plecami.

- Kłamiesz, Kay. Oczerniałaś Alexę, Marię i mnie - podsumowała Jessika lodowatym tonem.

- Jak śmiesz zarzucać mi kłamstwo! - Kay spojrzała na Alexę. - To ona kłamie, a nie ja.

Jessika uniosła się z krzesła.

- Obgadywałaś nas. Dowiadywałam się o wszystkim, i to z dobrego źródła. Twierdziłaś, że Alexa się wywyższa, że zadziera nosa. Że Maria traktuje cię jak kuchnię, a ja odstawiam wyniosłą piękność z Południa. Nazwałaś nas trzema wiedźmami. Nieładnie, lady Andrews.

Błada szyja Kay oblała się teraz szkarłatem, który objął również jej twarz. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy wzbierające w oczach. Zaczęła szukać chusteczki w torebce.

Na chwilę w bibliotece zapadło milczenie. Żadna z kobiet się nie odzywała. Anya wodziła po nich wzrokiem, przejęta teraz sytuacją Kay. Dziewczyna wyglądała, jakby miała zemdleć. Ale otrząsnęła się i przerwała milczenie.

- Rzeczywiście, miałam do was pretensje. Przez trzy lata tak się świetnie przyjaźniłyśmy, a potem, kilka miesięcy przed dyplomem, wszystkie

obróciłyście się przeciwko mnie. Uznałam, że przestałyście mnie lubić ze względu na moje gorsze pochodzenie. Zaczęłyście mnie lekceważyć. Alexa zmierzyła ją wzrokiem, wyraźnie zakłopotana.

- Wcale cię nie lekceważyliśmy, a już na pewno nie dopatrywałyśmy się żadnych różnic. Prawda, Jessiko?

- Prawda.

- A ty jak sądzisz, Mario?

- Potwierdzam.

- Ja jednak coś wyczuwałam - zaoponowała Kay.

- Chyba zmieniliśmy się z powodów, o których już była mowa - powiedziała cicho Alexa. - Problemy tkwiły w każdej z nas. - Westchnęła.

- Ubolewam, że nasze zmiany wzięłaś sobie tak bardzo do serca. Choć zupełnie nie dotyczyły ciebie.

- Kay, prawie nic nie wiedziałyśmy o twoim pochodzeniu - odezwała się Maria. - Miałaś świetne ciuchy, dużo pieniędzy, ogładę. Nawet nam się nie śniło, że możesz się od nas różnić.

- Ale się różniłam - powiedziała Kay. Urwała, spojrzała na Anyę. Anya pokiwała głową, zachęcając ją do dalszych zwierzeń.

- Byłam biedną dziewczyną z dzielnicy nędzy w Glasgow - wyznała Kay prawie szeptem. - Moja mama ciężko pracowała, żeby zapewnić mi wykształcenie w dobrej szkole dla panien z internatem w Anglii. A potem wysłała mnie tutaj, do szkoły Anyi.

- Nic nie wiedziałyśmy - zapewniła gorąco Jessika. - Ale nie zrobiłoby to nam żadnej różnicy. Kochałyśmy cię za to, kim byłaś, Kay. Za twój talent, twoje serce.

- Wobec tego przepraszam - szepnęła Kay. - Bardzo mi wtedy dopiekło poczucie wyobcowania. Dlatego tak się zachowywałam.

Znów sięgnęła po chusteczkę. Otarła łzy.

Wszystkie cztery siedziały w milczeniu, zatopione w myślach.

Anya przysłuchiwała się rozmowie bardzo uważnie. Zrozumiała, że Alexa mówiła prawdę. Wszystko zaczęło się od Marii. Alexa padła ofiarą zazdrości Marii i jej podejrzeń. Następnie te zarzuty podchwyciła Jessika. Przez Kay zaczął przemawiać kompleks niższości. Jaka szkoda, że na tyle lat odwróciły się od siebie. A mogły sobie okazać tyle serdeczności i wsparcia duchowego. Jaka szkoda, że się wcześniej nie dogadały.

Alexa przerwała zadumę Anyi.

- Słuchajcie, dziewczyny, rozprawmy się z tym raz na zawsze! Minęło siedem lat. Wszystkie dorosłyśmy. Zdrowie nam dopisuje, odniosłyśmy sukces, naprawdę szczęście nam sprzyja. Marzę o tym, żeby znów połączyła nas przyjaźń.

Alexa wyciągnęła rękę do Marii. Ta ją przyjęła. Obie stanęły przy kominku. Podeszła do nich Jessika. Wszystkie trzy objęły się i spojrzały w stronę Kay.

- No, chodź! - zawołała Jessika. - Niech nasz kwartet znów zabrzmie razem.

Kay zerwała się i podskoczyła do nich. Cztery przyjaciółki objęły się w wianuszkę, na poły śmiejąc się, na poły płacząc. W końcu, przerywając ten krąg, Jessika powiedziała:

- Kogoś tu brakuje. Chodź do nas, Anyu. Kim byłybyśmy bez ciebie?

Anya zaprosiła je do „Le Grand Vefour” na obiad.

Przebiegł w cudownej, ciepłej atmosferze. Młode kobiety, pogodzone po tak długim czasie, zachowywały się jak za pensjonarskich lat, jak gdyby nigdy nic ich nie poróżniło. Anya nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego prezentu urodzinowego. Obiad minął, jak z bicza trzasnął. Wyszły potem razem do miasta. Alexa zaczęła utyskiwać, że Anya niepotrzebnie wyrwała się z czekiem, bo one miały zamiar zapłacić za obiad.

- To my powinnyśmy cię były zaprosić - upierała się.

- Nie żartuj, kochanie. Tak się cieszę, widząc was razem i to bez wojowniczych nastrojów. Jak to dobrze, że te dasy są już za wami.

Kiedy czekały na samochód Anyi z kierowcą, Alexa odciągnęła Jessikę na bok i szepnęła jej:

- Poświęcisz mi pół godziny? Mam do ciebie ważną sprawę.

Jessika skinęła głową, spojrzała na zegarek.

- Weźmy taksówkę. Możemy porozmawiać w drodze do Galerii Bonnal. Umówiłam się tam z Alainem w sprawie obrazu dla klienta.

Alexa przyjrzała jej się uważnie.

Jessika zasepiła się.

- Pamiętasz go? Był przyjacielem Luciena.

- Oczywiście, że pamiętam - mruknęła Alexa.

## Rozdział trzynasty

Tydzień później, w ciepły sobotni poranek, jechali razem w kierunku Doliny Loary. Tom prowadził swojego mercedesa, obok siedział Mark Sylvester. Na tylnym siedzeniu usadowili się Alexa, Jessika i Alain Bonnal.

Był piękny dzień, ale słońce skryło się za ciemnymi chmurami, które przepływały na horyzoncie. Tom miał nadzieję, że się nie rozpada. Chciał jak najszybciej dojechać do domu rodziców pod Tours.

Tam mieli się odświeżyć i zjeść śniadanie, a potem ruszyć do Montcresse, zamku należącego do rodziny Jeana de Beauvais-Cresse. Wybierał się tam Tom z dwiema paniami i Alainem. Mark miał pozostać u rodziców Toma.

Zapewne ze względu na tak wczesną porę, nikomu nie chciało się rozmawiać. Dlatego Tom włożył płytę do odtwarzacza i po chwili popłynęły miłe dla ucha tematy z wielkich hollywoodzkich filmów.

Jessika przymknęła oczy, ale nie spała. Udawała drzemkę, żeby pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Aż do tej pory chciała za wszelką cenę zobaczyć mężczyznę łudząco podobnego do Luciena, ale teraz odwaga ją opuściła. Dobrze, że Alain był z nimi, bo znał Luciena tak samo dobrze jak ona.

Czy możliwe, żeby to był Lucien? Żeby żył i mieszkał nad Loarą?

Musiała przyjechać do Chateau Montcresse. Jeżeli ów mężczyzna, który mieszka tam z żoną i z dzieckiem, to nie Lucien, nic się nie stanie. A jeśli Lucien, to przynajmniej zagadka rozwiąże się raz na zawsze.

Wczoraj to samo powiedziała Markowi. Namówił ją na ten wyjazd i spytał, czy może jej towarzyszyć.

- Zależy mi na tobie, Jessiko - powiedział. - Chciałbym pojechać z tobą. A nuż ci się przydam? Chyba nie wątpisz w moją przyjaźń?

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego rękę. Przyznała, że lepiej się będzie czuła z nim u boku.

Niedługo potem Tom zjechał z autostrady w kierunku Tours boczną drogą na Loches.

- Zaraz będziemy na miejscu - oznajmił. Wszyscy poprawili się na siedzeniach. Zaczęli wyglądać przez okna.

Kwadrans później zwolnił, skręcił w podjazd przez otwartą żelazną bramę. Na końcu podjazdu pyszniła się okazała rezydencja, nieledwie zamek wzniesiony z kamienia znad Loary. Ten budulec znany był z tego, że biał z wiekiem. Dom odcinał się więc elegancką bielą na tle ciemnozielonych drzew i lazurowego nieba.

Kiedy Tom podjechał, jego ojciec, Paul Connors, wybiegł na ganek. Wyściskał syna, przywitał się serdecznie z Alexą. Następnie Tom przedstawił mu przyjaciół.

- Zapraszam na śniadanie - powiedział Paul, prowadząc gości do okrągłego, frontowego holu.

Zjawiła się Christiane Conners, matka Toma. Ucałowała Toma i Alexę, potem syn przedstawił jej kolegów.

- Może chcecie się odświeżyć - zaproponowała, zwracając się do Alexy i Jessiki. Poprowadziła je w kierunku schodów, zwracając się jednocześnie do męża i syna: - Paul i Tom, zajmijcie się Markiem i Alainem.

Poprowadziła dziewczęta krętymi schodami na piętro i pokazała piękny pokój gościnny urządony w błękitnych tiulach. Tiul pokrywał ściany i łóżko, a także wisiał w oknach.

- Alexo, wszystko tu znajdziesz - powiedziała pani domu, wskazując ręką na pokój i łazienkę.

- Dziękuję, Christiane. - Alexa zwróciła się w stronę Jessiki: - Może najpierw ty się ogarnij. A ja porozmawiam chwilę z mamą Toma.

- Dziękuję - odparła Jessika i zniknęła w łazience.

Kiedy zostały same, Christiane objęła czule Alexę.

- Tak się ucieszyłam, *ma petite*, na wieść o twoim przyjeździe do Paryża. I że znów się zesłicie z Tomem. - I spojrzała na nią pytająco. - Bo chyba się nie mylę, prawda?

- Nie - potwierdziła nieśmiało Alexa. - Chyba jesteśmy stworzeni dla siebie. I Tom o tym wie.

- Mam nadzieję, *cherie*. Taka jesteś dla niego ważna, taka dobra. *Ech, les hommes...* Ale jak świat wyglądałby bez nich?

Kiedy Jessika wyszła z łazienki, Christiane przyjrzała jej się bacznie i powiedziała:

- Tom prosił, żebym ci opowiedziała o Jeanie de Beauvais-Cresse, ale niewiele mam do powiedzenia, Jessiko.

Dziewczyna usiadła na krześle naprzeciwko Christiane. Obie czekały na Alexę.

- W mojej opinii jest odludkiem. Rzadko go widujemy, podobnie zresztą jak jego żonę. Mało się udzielają towarzysko.

- Może to oznaka czegoś podejrzanego - podsunęła Alexa, wychodząc z łazienki. - Mnie to w każdym razie zastanawia.

- Mam nadzieję, że się wkrótce dowiemy - mruknęła Jessika.

Christiane pokiwała głową.

- Zejdźmy na dół i napijmy się dla kurażu.

Chociaż Jessika była zaprzątnięta czym innym, schodząc za mamą Toma i Alexą na dół, otaksowała profesjonalnym okiem wnętrze. Minęły hol wejściowy, weszły do dość nietypowego okrągłego pomieszczenia znajdującego się z tyłu domu. Z licznych okien rozciągał się widok na trawniki, ogrody i niewielki zagajnik.

- Ależ tu pięknie! - zawołała.

- To nasza letnia jadalnia - wyjaśniła Christiane i podprowadziła je do okrągłego stołu zajmującego środek pokoju.

Ledwie usiadły za stołem, wszedł Tom z ojcem i pozostałymi dwoma mężczyznami.

- Siadajcie, gdzie komu wygodnie - poprosił Paul. Sam usiadł obok Alexy, wziął ją za rękę, uściśnął. - Dałbym centa za twoje myśli, Alex.

Roześmiała się.

- Nie mogę powiedzieć.

- No, to ja powiem tobie - szepnął z chytrym uśmieszkiem. Nachylił się do niej. - Chcesz z nim być do końca życia.

Alexa wytrzeszczyła oczy na Paula Connorsa.

- Więc to widać?

- Masz to wypisane na twarzy, kochanie.

Christiane nalala kawy, Tom obszedł stół, podsuwając kolejno gościom koszyk z pieczywem.

- Czego sobie życzysz, Alexo? - spytał, kiedy wreszcie stanął przy jej krześle.

- Ciebie - powiedziała bezgłośnie i wzięła *croissant*.

Tom ucałował ją w czubek głowy, ale nie skomentował.

Paul spojrział na Alaina i rzekł:

- Wiem od Toma, że znałeś kiedyś Luciena Girarda. Uważałeś go za przyzwoitego człowieka?

- *Ah, bien sur* - zawołał Alain. - Na pewno za kogoś niezwykle prawego. Trudno mi przyjąć, by mógł zniknąć rozmyślnie.

- Nie byłby to pierwszy taki przypadek - wtrącił Mark.

- Zwykle jest po temu ważny powód - podchwycił Paul.

Jessika słuchała, ale niewiele mówiła. Kiedy uznała, że wszyscy już skończyli pić kawę, zapytała:

- Nie sądzisz, Tom, że moglibyśmy już jechać? Strasznie się denerwuję i im dłużej siedzę, tym bardziej przedłużam swoją męczarnię.

- Jasne, że możemy - odparł Tom. On i Alexa zerwali się na równe nogi. Alain też wstał, wszedł za Jessiką z jadalni.

Mark odstawił krzesło i wybiegł za nimi. Dogonił Jessikę na wejściowych schodach, wziął za rękę, przyciągnął do siebie.

- Nieważne, co tam zastaniesz, Jess. Tak czy owak, wreszcie zagadka się rozwiąże.

Jessika chciała się zdobyć na uśmiech, ale na próżno.

- Masz rację, Mark. Pomimo to się denerwuję.

Przytulił ją i szepnął:

- Jessiko, wszystko się ułoży. Już ja o to zadbam.

Tom i Alain siedzieli z przodu w mercedesie; Alexa i Jessika zajęły miejsce z tyłu. W drodze do Montcresse nikt się nie odzywał. W pewnej chwili Alexa wzięła Jessikę za rękę i nie wypuszczała ze swojej dłoni.

Tom zamilkł na dobre.

- Przed nami Montcresse.

Jessika i Alexa wyciągnęły szyje. Zobaczyły nader okazały zamek wznoszący się dumnie na wzgórzu niedaleko rzeki Indre, dopływu Loary. Białe kamienne mury lśniły w jaskrawym porannym słońcu, a czarne dachy w kształcie dzwonów na licznych okrągłych wieżach przydawały gmaszysku uroku.

Kiedy Tom wjechał na wzgórze, Jessikę aż coś ścisnęło w dołku. Pomyślała, że nie da rady przez to przejść. Omal nie poprosiła Toma, by zawrócił do Paryża. Spojrzała na Alexę, już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Alexa dojrzała na bladej twarzy Jessiki tremę pomieszaną z lękiem i pocieszyła ją:

- Wszystko będzie dobrze.

Sparaliżowana Jessika pokiwała tylko głową.

Tom zaparkował niedaleko wielkich drzwi wejściowych. Odwrócił się do koleżanek z tyłu i powiedział:

- Najprawdopodobniej otworzy ktoś ze służby i zaproszą mnie do środka. Oczekajcie pięć minut i przyjdźcie mnie szukać. Wpuszczą was, jeśli powiecie, że jesteście ze mną.

- A jeżeli otworzy Jean? - spytała Alexa.

- To chwilę zajmę go rozmową. A potem spojrzę na samochód, zamacham. Wtedy podejdźcie do nas... Wszystko jasne?

- Tak - potwierdziła Alexa. Jessika tylko pokiwała głową.

Tom wysiadł i ruszył brukowanym podwórkiem, wprost do drewnianych drzwi wejściowych, zdobionych ćwiekami. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że są uchylone. Mimo to zapukał i czekał.

Po chwili w holu wejściowym ukazał się starszy szpakowaty mężczyzna w pasiastym fartuchu osłaniającym spodnie, w koszuli i kamizelce. Niósł srebrną tacę. Na widok Toma wyszedł za próg, skłonił głowę.

- *Bonjour, monsieur.*

- *Bonjour. J'aimerais voir Monsieur le Marquis.*

- *Oui, out Attendez une minute, s'il vous plait.*

Ledwie to powiedział, Tom usłyszał czyjeś kroki na bruku. Zbliżał się do niego Jean de Beauvais-Cresse. Miał czarne buty do konnej jazdy, białe bryczesy i czarny sweter z golfem. Uniósł rękę na powitanie. Po chwili panowie podali sobie ręce.



Tom wyjaśnił.

- Proszę wybaczyć to najście bez uprzedzenia, ale przejeżdżaliśmy obok zamku. Moi klienci poprosili, żebym się zatrzymał. Zafrapowało ich Montcresse. Przystępują do kręcenia filmu, szukają plenerów nad Loarą. Pokazuję im różne miejsca...

- *C'est pas possible* - przerwał mu Jean z przepaszającym uśmiechem.  
- Wielu ludzi chciało tu już kręcić, ale nic z tego nie wyszło. Niestety, zamek nie nadaje się na wnętrza do filmu.

- Rozumiem - odparł Tom. - A okolica? Mamy też sporo scen na dworze, może wyraziłby pan zgodę na wstęp na teren posiadłości.

Jean de Beauvais-Cresse wyraźnie ważył to w myślach.

Tom kątem oka dostrzegł zmierzających ku nim Alexę, Alaina i Jessikę. Nie przerywał rozmowy.

- Proponujemy spore honorarium. Obiecuję, że ekipa zachowa nadzwyczajną ostrożność.

- Rozumiem. Muszę się zastanowić... - Jean przerwał nagle. Zbladł. Jessika podeszła, nie odrywając od niego wzroku. Natychmiast go poznała. Tak samo jak on ją.

Przełknęła ślinę.

- Często myślałam sobie, że może jednak żyjesz gdzieś w świecie. Oczy nabiegły jej łzami.

Patrzył na nią, po chwili przeniósł wzrok na Alaina, wreszcie na Alexę. Poznał ich, ale nie skomentował słowem.

Wolno potrząsnął głową. Westchnął ciężko, otworzył szerzej drzwi.

- Zapraszam do środka.

Jessika jakoś się trzymała. Wszyscy weszli za Jeanem do wielkiego kamiennego holu. Poprowadził ich po trzech schodkach w głąb wielkiej, przestronnej sali z oknami balkonowymi wychodzącymi na taras. Jessika ledwie zarejestrowała ciemne drewniane meble, wytarty kilim z Aubusson, całą aurę przyszarzałej, nadgryzionej zębem czasu elegancji.

Jean zatrzymał się na środku pokoju, wskazał na krzesła i kanapy.

- Zapraszam - powiedział cicho. Sam stanął przy kominku.

Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, spojrzał na Toma i powiedział:

- Poznaliśmy się w Paryżu przed laty?

- Nie.

- To w jaki sposób wpadł pan na mój trop?

- Moja przyjaciółka Alexa ma fotografię przedstawiającą pana i Jessikę. Kiedy wymieniłem pańskie imię, sprostowała, że przedstawia Luciena Girarda. I wtedy opowiedziała mi o pana zniknięciu.

- Rozumiem.

Jean przestąpił z nogi na nogę, zamrugał kilka razy.

Nie mogąc się powstrzymać, Jessika wychyliła się nieco do niego i spytała ściśniętym głosem:

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedział.

Na dworze leciutki wietrzyk igrał wśród liści drzew, w dali ćwierkały ptaki. Przez okna wpadł zapach róż, napelniając pokój słodyczą. W długiej, wąskiej bibliotece panował spokój. Ale emocje aż kipiały.

- Chyba jesteś mi winien wyjaśnienie - wykrzyknęła Jessika. - Alainowi zresztą też. Z takim trudem, tak długo cię szukaliśmy, aż wreszcie uznaliśmy za zmarłego. Opłakaliśmy twoją śmierć! - Potrząsnęła głową, łzy zebrały jej się w oczach. - Obchodziłam żałobę aż do teraz.

Głos jej się załamał, nie mogła mówić dalej.

- Owszem, jestem wam obojgu winien wyjaśnienie. - Usiadł na krześle przy kominku, zaczął wolno mówić. - Mówiłem, że wybieram się do Monte Carlo do pracy, ale nie mogłem ci powiedzieć prawdy, Jessiko.

- Jakiej prawdy? - spytała we łzach.

- Że nie jestem Lucienem Girardem, lecz Jeanem de Beauvais-Cresse. Dwanaście lat wcześniej opuściłem ten dom po straszliwej kłótni z ojcem. Nie zgodził się, żebym został aktorem i odżegnywał ode mnie. Poza tym i tak jego ulubieńcem był mój starszy brat Philippe, dziedzic tytułu i majątku. Siedem lat temu, tuż przed twoim dyplomem, Philippe zginął tragicznie w wypadku. Leciał prywatnym samolotem na Korsykę do swojej narzeczonej i jej rodziny, ale samolot spadł podczas burzy. Zginęli wszyscy.

Ojciec na wieść o śmierci Philippe'a dostał wylewu. Mama, osoba niepełnosprawna, zażądała mojego powrotu do Montcresse. Musiałem się zająć pogrzebem i innymi sprawami. No i oczywiście zaopiekować obojgiem rodziców.

- Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? - wybuchnęła zalem Jessika.

- Pojechałabym z tobą, pomogła.

- Sprawy zanadto się skomplikowały. Nie miałem czasu na długie wyjaśnienia. Wezwano mnie pilnie. Poza tym sądziłem, że zabawię nad Loraą najwyżej tydzień.

Jean urwał, odchylił się na krześle, zaczerpnął tchu.

Jessika zmierzyła go wzrokiem. Wyglądał znacznie poważniej niż na swoje trzydzieści pięć lat. Jego pociągła, pobrużdżona teraz twarz robiła wrażenie, jak gdyby nie dojadał. Stwierdziła w duchu, że stracił wiele ze swej atrakcyjności.

Jean de Beauvais-Cresse czuł na sobie przenikliwy wzrok Jessiki i aż się wzdrygnął. Było mu bardzo nieswojo. Jessika nigdy nie wyglądała poważniej, nigdy bardziej go nie pociągała. Wciąż ją bardzo kochał. Bo nigdy nie przestał. I tak pozostanie do śmierci.

Przez chwilę zdawało mu się, że się rozpłacze. Ale zapanował nad sobą, wstał, podszedł do kominka, znów przy nim stanął.

Odchrząknął.

- Wierz mi, Jessiko, naprawdę miałem zamiar powiedzieć ci wszystko po powrocie do Paryża.

- I co wtedy? - spytała Jessika nadal drżącym głosem.

- Miałem nadzieję, że mimo wszystko urządzimy sobie razem życie. Ale nagle sprawy potoczyły się inaczej.

- Mianowicie? - spytał Alain, chmurząc czoło.

- Tuż po pogrzebie brata zachorowałem. I to poważnie. Miałem chrypę, bóle, nocne poty, gorączkę. Wspomniałem o tym lekarzowi ojca, kazał mi się natychmiast zgłosić na badania.

Jessika wstrzymała oddech. Jeszcze zanim się odezwał, czuła, że zaraz usłyszą hiobową wieść.

- Doktor Bitoun wysłał mnie do onkologa w Orleanie - ciągnął Jean.

- Zrobiono mi badania węzłów chłonnych. Ich wyniki potwierdziły najgorsze przypuszczenia. Miałem chorobę Hodgkina.

- W tak młodym wieku! Mając dwadzieścia kilka lat! - zawołała Jessika, porażona grozą.

- To prawda. Ta choroba zwykle dotyka młodych mężczyzn po dwudziestce, czasem nawet nastolatki - odparł Jean. - Kiedy postawiono diagnozę, natychmiast onkolog z Orleanu wysłał mnie do szpitala i rozpoczął radioterapię. Ponadto...

- Ale dlaczego się nie odezwałeś? - Jessika przerwała mu z przejęciem. - Przecież natychmiast przyjechałabym. Kochałam cię.

- Wiem. Bo ja też cię kocham... - zakasłał nagle, zakrył usta ręką, dokończył: - Też cię kochałem, Jessiko. Ale uświadomiłem sobie, że nie mam ci już nic więcej do zaoferowania. Miałem niesprawną matkę, ojca po wylewie i ciążyła na mnie odpowiedzialność za prowadzenie rezydencji. Nie chciałem cię tym wszystkim obarczać. Byłaś za młoda. Zresztą nie sądziłem, że długo pożyję.

- Ale jakoś żyłeś - powiedział surowym tonem Alain.

- Tak. Po serii morderczych naświetlań przyszła remisja trwająca około ośmiu miesięcy. Aczkolwiek lekarz prowadzący uprzedził mnie, że rak pewno znów zaatakuje. - Spojrzał na Jessikę. - Małżeństwo nie wchodziło w grę.

- A jednak się ożeniłeś. I masz dziecko.

- Owszem. Ożeniłem się trzy lata temu. W pobliżu mieszkała moja koleżanka z dzieciństwa. Kiedy wyszedłem ze szpitala, zjawiała się w Montcresse, żeby mi pomóc. Potem zmarł mój ojciec, a kilka miesięcy później matka. Bardzo mnie to przybiło. Annick, moja droga stara przyjaciółka, była mi wtedy opoką. Z czasem połączyła nas zażyłość, chociaż nie planowałem ślubu.

- No, to dlaczego się ożeniłeś? - spytała z naciskiem Jessika. - I to nie ze mną? Wiesz, że natychmiast przyjechałabym. Też mogłabym zostać twoją opoką.

- Bo ku mojemu najwyższemu zdumieniu Annick zaszła w ciążę - wyjaśnił Jean. - Nie sądziłem, że to możliwe, ponieważ chemioterapia często pozbawia mężczyzn płodności. Ale Annick zaszła w ciążę. Pokochałem ją, ona mnie, chciała za mnie wyjść. Dała mi dziedzica.

- Ile lat ma dziecko? - spytała Alexa.

Jean spojrzał na nią i uśmiech zaigrał mu na ustach.

- Trzy.

- I teraz jesteś w remisji, prawda? - upewnił się Alain.

- Nie. Czeka mnie kolejna kuracja. Tym razem chemioterapia.

- Tak mi przykro - rzekł cicho Alain. - Że choroba wróciła.

Jessika z wilgotnymi od łez oczyma powiedziała wolno:

- Zrozumiałabym. Przyjechałabym do ciebie, Lucien. Byłeś całym moim życiem.

Niebieskoszare oczy Jeana zaszły łzami. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Jessika wstała, przemierzyła pokój. A kiedy stanęła przy nim, Jean wyciągnął do niej rękę. Zobaczyła łzy na jego policzkach, w oczach - ból i żal. Przytulił ją delikatnie do siebie. I powiedział cicho:

- Sądziłem, że robię dobrze. - Ponieważ nie odpowiadała, dodał:

- Wybacz mi, Jessiko.

- Wybaczam - szepnęła. - Wybaczam ci, Lucien. - Zamrugła, by powstrzymać napływające łzy. - Zawsze będę cię pamiętała jako Luciena.

- Wiem.

Wtem rozległ się jakiś hałas, tupot niecierpliwych nóg. Jessika i Lucien odsunęli się od siebie, a do biblioteki od strony ogrodu wpadł mały chłopiec.

- *Papa! Papa! Je suis la!* - zawołał, ale na widok obcych ludzi przy ojcę stanął jak wryty.

Jean podszedł, wziął go za rękę, podprowadził do Jessiki.

- To mój syn... Lucien - powiedział.

Skinęła tylko głową. Po czym ukucnęła przed chłopcem, dotknęła palcem krągłego dziecięcego policzka i uśmiechnęła się.

- *Bonjour. Je suis Jessica* - powiedziała.

Malec uśmiechnął się do niej.

- *Bonjour* - przywitał się piskliwym dziecięcym głosem. Na jego twarzy malowało się zdrowie i szczęście.

Jessika przełknęła wszystkie emocje, wstała, spojrzała na Alexę i pozostałych mężczyzn.

- Chyba już pojedziemy - zaproponowała, a odwracając się do Jeana, dodała: - Dziękuję za wyjaśnienia.

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś.

- Owszem.

Ścisząc głos, zapytał:

- A ty nie wyszłaś za męża, Jessiko?

-Nie.

- Tak mi przykro. *C'est dommage.*

- Nie przejmuj się.

Wyprowadził ich z biblioteki, jedną rękę położywszy na ramieniu Jessiki, drugą trzymając synka za rękę. Tak przeszli kamiennym holem do drzwi wyjściowych. Już na dziedzińcu nachylił się i pocałował Jessikę w policzek.

-*Au revoir, Jessica. Bonne chance.*

- Do widzenia.

Pochylił głowę.

Ruszyła w kierunku samochodu. Słyszała za sobą pożegnania innych. Wkrótce też ruszyli za nią. Stała przy samochodzie, obejrzała się.

Stał tak, jak go zostawiła, trzymając syna za rękę. Drugą posłał jej całusa, pomachał. Mały Lucien też.

Odwzajemniła gest, pomachała, wsiadła ze zbolowanym sercem.

W drodze powrotnej nikt się nie odzywał.

Alexa trzymała Jessikę za rękę, a kiedy już się trochę oddalili od zamku, spytała:

- Nic ci nie jest?

- Nie - zapewniła ją Jessika cicho. - Odzyskałam spokój, bo nareszcie wiem, co się stało z Lucienem.

- Tak mi przykro - szepnęła Alexa. - Aż mi się serce krajało, gdy to wszystko opowiadał.

- A ja uważam, że postąpił słusznie - włączył się Tom. - Dla twojego dobra, Jessiko. W swoim przeświadczeniu cię chronił.

- Wiem. Ale zdecydował za mnie. A to nie do końca fair. - Jessika westchnęła głęboko. - Tyle lat hołubiłam w sobie tę miłość. Ale teraz on żyje innym życiem. Ja też się zmieniłam. Szkoda, że mi nie zaufał. Nie zaufał albo nie kochał na tyle, żeby mi to powiedzieć siedem lat temu, kiedy spadło na niego to pasmo nieszczęść.

- Co byś wtedy zrobiła? - spytała Alexa.

- Natychmiast bym do niego pojechała - odrzekła stanowczo Jessika.

- Bez cienia wątpliwości.

- Ale czy by wam wyszło? - zapytał Tom.

- Nie mam pojęcia. Cieszę się jednak, że go wreszcie zobaczyłam. Teraz mogę zacząć budować swoje życie.

W głębi duszy zawsze będę go kochała, pomyślała. I zawsze będzie do niego należała częśćka mojej duszy. On chyba odczuwa podobnie. Bo wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nadal mnie kocha.

W apartamencie hotelu Meurice Kay przejrzała się w lustrze i zastanowiła, czy nie dodać trochę różu na policzkach. Wydawała się sobie bledsza niż zwykle, a chciała dziś szczególnie pięknie wyglądać.

Odchyliła się na krześle, przyjrzała się włosom. Spadały wokół twarzy burzą loków i kędziorków. Zmierzwiała je jeszcze bardziej palcami, przeczesala z przodu, lekko spryskała lakierem.

- Nic więcej nie wymyślę - powiedziała na głos, przeglądając się ponownie w lustrze przy toalecie.

- Prześlicznie wyglądasz, Kay - pochwalił Ian, stając za nią i kładąc jej rękę na nagich plecach.

- Aleś mnie zaskoczył! - zawołała, odwracając głowę.

Uśmiechnął się, pochylił, dotknął jej policzka palcem, po czym obrócił za ramiona znów do lustra.

- Zamknij oczy - poprosił.

- Dlaczego?

- Nie pytaj.

Kiedy zamknęła, sięgnął do kieszeni szlafroka i wyciągnął naszyjnik. Bardzo ostrożnie zawiesił go na długiej, smukłej szyi Kay.

- Już możesz otworzyć.

Kiedy otworzyła, aż jęknęła ze zdumienia i zachwytu. Mąż zapiął jej na szyi najpiękniejszy naszyjnik z brylantów i topazów, jaki widziała w życiu. Brylanciki tworzyły ażurową koronkę, a pomiędzy nich wyzierało osiem wielkich topazów.

- Istne чудо! W życiu podobnego nie widziałam! - zawołała, spoglądając na Iana w lustrze. - Dziękuję, bardzo ci dziękuję.

- Cieszę się, że ci się podoba, kochanie. Zakochałem się w nim od pierwszej chwili, podobnie jak niegdyś zakochałem się w tobie. Od pierwszego wejrzenia.

Roześmiała się, ale znów otworzyła szeroko oczy, kiedy wręczył jej małe czarne aksamitne puzderko.

- A to do kompletu - dodał.

I znów jęknęła, gdy uniosła wieczko. Na czarnym aksamicie pyszniła się para topazowych kolczyków w brylantowej oprawie.

- Ach, Ian, cóż za ekstrawagancja! - zawołała.

Szczęśliwy uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Włóż - poprosił.

- Na prośbę i na rozkaz - odparła. Przypięła kolczyki, przejrzała się.

- Są... po prostu precudne - westchnęła.

Pogłaskał ją po ramieniu i spytał:

- Pamiętasz, kiedy pewnej soboty w lutym wybrałem się do Edynburga? W przeddzień urodzin Fiony?

- Doskonale pamiętam. Bo potem jakoś mętnie się tłumaczyłeś.

- No właśnie, to przez ten naszyjnik i kolczyki. Poprosiłem starego Barnes'a, kierownika zakładu jubilerskiego Codringtona, żeby miał dla mnie oko na brylantową kolbę. Wyobraź sobie moją radość, kiedy zadzwonił, że ma starą, bardzo rzadką kolbę z brylantów i topazów i zaprasza, żebym ją zobaczył. - Ian przerwał, dotknął kosmyka jej włosów.

- W rzeczywistości więc wybrałem się do Edynburga po ten naszyjnik.

- I trzymałeś go przez tyle miesięcy?

- Chciałem ci go dać dopiero na Gwiazdkę, ale nagle uznałem, że teraz też jest dobra pora. Dlatego przywiozłem go ze sobą.

Pokiwała głową, wstała, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała mocno w usta.

- Jesteś najwspanialszym mężem. Lepszego nie mogłabym sobie nawet wyobrazić.

- A ja lepszej żony, skarbie. - Z tymi słowy rozwiązał pasek jej szlafroka, zsunął go z ramion. Szlafrok upadł, tworząc jeziorko jasnego błękitu wokół jej stóp. Przytrzymał ją na wyciągnięcie ręki, zapatrzył się.

- Ależ ty jesteś piękna.

Sam też zsunął szlafrok i przyciągnął ją do siebie. Trzymał teraz mocno w ramionach, całował zagłębienia szyi, potem piersi. Oderwał głowę, spojrzał jej głęboko w oczy i poprosił:

- Chodźmy do łóżka. Obiecuję, że postaram się nie zniszczyć ci fryzury ani makijażu.

Roześmiała się ciepło.

Położyli się razem, mocno wtuleni, wpili się w siebie ustami. Kay muskała językiem wargi męża, po czym rozchyliła usta, żeby zakosztować jego smaku, Ian całował ją coraz bardziej zachłannie, a rękami bładził po jej ciele, dotykał, głaskał, pieścił. Porwała ich fala rosnącej namiętności, ztratili się we wzajemnej ekstazie.

Kiedy potem leżeli spokojnie obok siebie, Ian uniósł się na łokciu, spojrzał na nią, odgarnął kosmyk włosów z twarzy.

- Może właśnie poczęliśmy dziecko, na które tak bardzo czekasz - szepnął z serdecznym uśmiechem. - Ale jeśli nie, to też nie szkodzi. Chyba rozumiesz, kochanie?

- Rozumiem. - Odwzajemniła jego uśmiech. - Doktor Boujon właśnie mi zalecił, żebym się odprężyła i tylko ponawiała próby. Ale też ma w zanadrzu różne formy pomocy.

Ian roześmiał się.

- Jestem pewien, że nie zajdzie taka potrzeba. Nie zapominaj, że masz do czynienia z pełnokrwistym Szkotem z gór.

Kwadrans później Kay znów siedziała przy toalecie, rozprowadziła gąbką makijaż, przypudrowała twarz, pociągnęła różem policzki. Kiedy zarysowała ołówkiem kontur ust, pomyślała o ostatnich pięciu dniach, Ian przybył do Paryża nieoczekiwanie, w odpowiedzi na jej zaproszenie do udziału w przyjęciu urodzinowym Anyi.

Przyjechał kilka dni wcześniej, bo, jak tłumaczył, dobrze im zrobi odrobina sam na sam z dala od Lochcraigie.

Pierwszej nocy, już po żarliwym zatopieniu się w sobie, opowiedziała mężowi o wizycie u doktora Boujona. Lekarz nie stwierdził u niej żadnych fizycznych dolegliwości. Kiedy ją o tym zapewnił, znikły jej obawy, że nie zajdzie w ciążę. Poradził, żeby zwierzyła się Ianowi ze swoich obaw, i poskutkowało.

Ian po wysłuchaniu jej lęków zapewnił ją, że wcale go to nie martwi.

Jego wielkoduszność ośmieliła ją, żeby opowiedzieć mu o swojej tragedii w dzieciństwie. Kiedy skończyła, poruszony, wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie.

- Kay, już nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić, kochanie.

Przyłgnęła do niego, rozkochana w nim bardziej niż kiedykolwiek.

Zrozumiała, że Ian nigdy się wobec niej nie zmienił. Niepotrzebnie się tak zadrezczała. I poprzysięgła sobie, że nigdy już nie zwątpi w niego.

Wstała od toaletki, wróciła do sypialni. Wysoka, szczupła, długonoga, elegancka. Miała już na sobie pończochy i szpilki, zdjęła z wieszaka szynonową suknię w kolorze szampana, włożyła na siebie.



Wtem, jak gdyby na jej wezwanie, Ian stanął w progu, niesłuchanie przystojny we fraku.

- Zapiąć ci suwak?

- Bardzo proszę - odparła, odwracając się do niego z uśmiechem.

Kiedy wygładziła suknię, okręciła się dookoła.

- Podoba ci się?

- Pięknie na tobie wygląda, tak zwiewnie, a kolia i kolczyki pasują wręcz idealnie.

- Jeszcze raz ci dziękuję za te cuda. Ale teraz zejdźmy lepiej do baru. Inni z pewnością już czekają.

Kay wypatrzyła Alexę zaraz po jej wejściu do baru „Fontainebleu”. Koleżanka siedziała z Tomem przy stole w kącie pod oknem.

Gdy Kay z Ianem podeszli, zobaczyła, że Alexa też ma na sobie szyfоновą suknię. Zupełnie jakby szytą na miarę, mieniącą się różnymi odcieniami zieleni.

Tom zerwał się, przywitał, a kiedy już wszyscy usiedli, kelner przyniósł im po kieliszku szampana. Po chwili nadeszła Jessika z Markiem Sylwestrem. Miała na sobie błękitną organdyową suknię przybraną delikatnym deseniem niebieskich kwiatów. Podobnie jak Kay i Alexa, wyglądała w niej nad wyraz zwiewnie.

Kiedy Mark z Jessiką podeszli do stołu, Alexa odezwała się:

- Widzę, że wpadliśmy na podobny pomysł stroju na czerwcowe przyjęcie w Paryżu.

Mark wodząc oczami od jednej do drugiej, powiedział:

- Opromienicie swoją urodą cały bal.

- Nie mów tak! - zawołała Kay. - Ta rola jest zarezerwowana dla Anyi.

Alexa zlustrowała spojrzeniem Toma, Iana i Marka.

- Jedno jest pewne. Mamy najprzystojniejszych chłopaków.

- Dzięki za komplement, Alexo - znalazł się Ian. Polubił przyjaciółki Kay, podobnie jak mężczyzn ich życia, których poznał dopiero poprzedniego wieczoru. Tom zaprosił całe towarzystwo na kolację w „L'Ambrosie” przy placu Wogezów. Jednak najbardziej ucieszyło Iana spotkanie z Anyą Sedgwick. Wysłuchał z uwagą jej pochwał pod adresem Kay. Jej kuzyn Nicky okazał się uroczy i zabawny. A czwarta członkini kwartetu, Maria Franconi, prezentowała się tak olśniewająco w czarnej sukni i perłach, że goście nie mogli wprost oderwać od niej oczu.

- Podejrzewam, że Nicky i Maria nie przybędą na *aperitif* - powiedział Ian. - Odniosłem wrażenie, że zamierzają przywieźć Anyę od razu na przyjęcie.

- Anya nie chciała się spóźnić - wyjaśniła Alexa. - Pragnęła zjawić się pierwsza, żeby witać gości.

Wniesiono kolejne kieliszki szampana dla Jessiki i Marka. Wszyscy tręcili się i wzniesli toast. Po czym usiedli, by porozmawiać chwilę przed wyjściem na przyjęcie.

## Rozdział czternasty

Anya stanęła w holu wejściowym do Ledoyen między Nickym a Marią i rozejrzała się wokół.

Jej niebieskie oczy rozbłysły zachwytem. Twarz promieniała.

- Och, Nicky, kochanie, przeszedłeś sam siebie! - zawołała. - Przepięknie to wygląda.

Nicky uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Cieszę się, że ci się tak podoba. Chciałem, żebyś się tu czuła... jak u siebie.

Anya roześmiała się perlistym, tak dla niej charakterystycznym śmiechem, postąpiła krok naprzód, rozejrzała się. Nicky bowiem odtworzył tu fronton jej czarno-białego szalowanego drewnem paryskiego domu porośniętego częściowo bluszczem. Było to malowidło naśladowujące gatunek *trompe l'oeil*, dające na wzór fotografii złudzenie rzeczywistości, olbrzymie płótno przytwierdzone do długiej ściany z boku foyer. W sali urządzono niby to brukowany dziedziniec z kwitnącym drzewem wiśni pośrodku. Pod jego gałęziami brzemiennymi owocem ustawiono cztery żelazne krzesła ogrodowe. A z drugiej strony foyer pysznił się jej kwietny ogród, ogrodzony białym płotem.

Nicky wziął ciotkę pod rękę i zaprosił:

- Chodź, Anyu. Mam jeszcze coś w zanadrzu.

Anya, uśmiechnięta od ucha do ucha, pozwoliła się prowadzić po schodach.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Na *aperitif* - odparła wesoło Maria.

Anya pokiwała głową, spojrzała kątem oka na Marię, myśląc, jak ona pięknie wygląda. Zgrabniejsza niż kiedykolwiek, prezentowała się szykownie w granatowej szyfonowej sukni bez ramiączek, z sutą spódnicą i tylko w cienkim sznurku pereł na szyi i brylancikami w uszach.

- Mario, jesteś po prostu prześliczna - szepnęła Anya.

Maria zarumieniła się nieco, uśmiechnęła z zadowoleniem.

- A ty, Anyu, wyglądasz przewspaniale w swojej firmowej czerwieni.

- Wiesz, że zawsze uwielbiałam czerwień - przyznała. - Czuję się w niej szczęśliwa. Chociaż dzisiaj nie muszę sobie niczego dodawać strojem. We wszystkim czułabym się bosko.

Kiedy weszli na piętro, Nicky wziął ją za rękę i poprowadził do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Otworzył, zaprosił gestem do środka i powiedział: - *Voilà!*

Anyi aż dech zaparło. Patrzyła na kolejną replikę, tym razem salonu w swoim domu w Prowansji, który Hugh kupił dla niej wiele lat temu, a w którym spędzili razem tyle szczęśliwych dni. Nicky wstawił tu prowansalskie wiejskie meble i odtworzył jaskrawą kolorystykę przypominającą tamto wnętrze. Z boku stali półkolem uśmiechnięci kelnerzy i kelnerki, gotowi podać trunki.

- Nicky, och, Nicky - wybąkała Anya, kiedy kuzyn przeprowadził ją do kolejnego pomieszczenia.

Teraz znalazła się w rosyjskiej daczynie urządzonej w wiejskim stylu. Klimatu dodawali też kelnerzy w szkarłatno-złoty koczackich koszulach i luźnych szarawarach wetkniętych w cholewy długich czarnych butów.

Stanęła oniemiała, rozglądając się tylko dokoła, żeby ogarnąć wszystko wzrokiem, ale Nicky nie pozwolił jej zabawić długo. Wziął ją za rękę i przeprowadził do trzeciego pomieszczenia.

Znaleźli się w salonie londyńskiego domu jej rodziców, w którym się wychowała. Nicky odtworzył go w najdrobniejszych szczegółach. Teraz lży same nabiegły jej do oczu.

- Dziękuję, dziękuję - powtarzała, aż słowa uwięzły jej w gardle.

- Dziękuję za to, że przywołałeś tyle moich ukochanych wspomnień.

Kelner, odszykowany jak prawdziwy angielski lokaj, podszedł z tacą pełną trunków. Wszyscy troje wzięli po kieliszku szampana. Trącili się i wzniesli toast, a Nicky dodał:

- Obyś przeżyła dziś najwspanialszy wieczór, Anyu.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Widzę, że zadbałeś o wszystko.

Roześmiał się.

- Szykuję jeszcze kilka niespodzianek. Gdzie zatem chcesz przywitać gości? W którym wnętrzu?

- Sama nie wiem, kochanie. Wszystkie są takie wyjątkowe.

- To może w pierwszym - podsunęła Maria. - Skoro wszyscy tamtędy wchodzi.

- Niezły pomysł, skarbie - zgodził się Nicky i wszyscy troje wrócili do prowansalskiego salonu z rzędem małych stolików pokrytych wesołymi

czerwonymi, zielonymi i żółtymi obrusami. Brązowe gliniane dzbany z wysokimi słonecznikami zdobiły długi kredens. Wokół unosił się zapach lawendy.

Kiedy znaleźli się w środku, podeszła do nich kelnerka z tacą. Anya uśmiechnęła się na widok swoich ulubionych smakołyków. Pierożki z mięsem na gorąco, pieczone kartofle z kawiolem, wędzony łosoś na grzankach i angielskie paróweczki koktajlowe.

- Za duża pokusa jak dla mnie! - zawołała. - Muszę skosztować wszystkiego.

- Na to liczyłem - odparł Nicky. - Ja też się nie oprę. Nie minęło kilka minut, gdy pojawili się pierwsi goście.

I nagle Anya znalazła się w otoczeniu najbliższej rodziny. Obcałowali ją i złożyli życzenia Katti i Sasza, czyli siostra ze szwagrem. Następnie brat Władimir z żoną Liii i dziećmi, tak pełnymi ciepła i czułości. A tuż za nimi jej własne dzieci, Olga i Dimitri z rodzinami. Wszyscy ściskali ją, życzyli wszystkiego najlepszego, tonęli w uśmiechach.

Po nich nadciągnął tłum dawnych przyjaciół, a sporo ich się uzbierało przez długie życie Anyi, w tym ukochanych uczniów, którzy przewinęli się przez szkołę i pozostawali z nią w kontakcie przez trzydzieści albo i więcej lat.

Na samym końcu jej ulubione uczennice. Cztery pupilki z rocznika '94. Alexa, Jessika, Kay i Maria. Ależ wszystkie dziś pięknie wyglądały, gdy kroczyły ku niej u boku swoich mężczyzn, prezentujących się elegancko w smokingach.

Najpierw życzenia złożyły jej Alexa, Kay i Jessika, potem Tom, Ian i Mark, a następnie Nicky wziął panów na bok, żeby została sam na sam z kwartetem dziewcząt.

- Nie muszę wam mówić, że wyglądacie prześlicznie - pochwaliła Anya. -I zanim dodam coś więcej, chcę wam podziękować za prezenty. Kay, cudowny jest ten stary szal. Nie mogłam się oprzeć, by go dziś nie włożyć. Jak widzisz, pasuje czerwienią do mojej sukni. Jessiko, urzekła mnie ta ikona od ciebie. Postawiłam ją na honorowym miejscu w sypialni. Podobnie jak twoją szkatułkę z laki, Alexo. Ten widok Sankt Petersburga na wieczku to wprost arcydzieło. Dziękuję wam z całego serca.

- Anya uśmiechnęła się do Marii i dokończyła. - A obraz od ciebie, Mario, jest absolutnie wyjątkowy. Już wisi w mojej sypialni.

Maria zarumieniła się i uśmiechnęła bez słowa.

Anya ponownie potoczyła po nich wzrokiem i odezwała się poufnym szeptem:

- Tak się cieszę, że wszystkie przyjechałyście wcześniej. Że miałyśmy czas zażegnać spory. Widzę, że wszystko znowu jest po staremu.

- Jak za dawnych czasów - potwierdziła Alexa. - Znow połączyła nas przyjaźń na wieki. Na dobre i na złe. Prawda, dziewczyny?

Wszystkie przytaknęły, a Kay dodała:

- Wierzyć się nie chce, że minęło siedem lat. Mnie się wydaje, jakby nasz pobyt w szkole skończył się wczoraj.

- Tyle nas nauczyłaś, pozwoliłaś dojrzeć naszym talentom, pomogłaś urzeczywistnić marzenia - rzekła ze wzruszeniem Jessika. - Dzięki tobie stałyśmy się tym, kim jesteśmy, Anyu. I za to będziemy ci zawsze wdzięczne.

Anya pokiwała głową.

- Wszystkie przyjechałyście do Paryża również z innych powodów. Ciągnęły się za wami różne nie dokończone sprawy. Każda miała jakiś cel. Tak się cieszę, że znalazłyście to, czegoście szukały. - Spojrzała na Alexę. - Zesłaś się znow z Tomem... na zawsze?

Alexa pokiwała głową, rozpromieniona. Pokazała Anyi lewą rękę. Błyszczał na niej brylantowy pierścionek.

- Dzisiaj się zaręczyliśmy.

Wtedy Anya przeniosła wzrok na Marię.

- Ty i Nicky też chyba stanowicie dobraną parę.

- Tak, Anyu. Nicky chce, żebyśmy wzięli ślub, jak tylko dostanie rozwód. Nie wracam do Mediolanu. Będę mieszkała w Paryżu i zajmę się sztuką. Koniec z projektowaniem tkanin - oznajmiła uroczyście Maria.

Anya klasnęła cicho w dłonie.

-I chwała Bogu, Mario! A ty, Kay? Chyba wszystko układa się jak najlepiej między tobą a Ianem?

- O tak! Jak ci już mówiłam, nie ma żadnych przeszkód natury fizycznej. Mogę mieć dziecko! - Kay roześmiała się. - Ale Ian wcale nie nastaje. Twierdzi, że zależy mu przede wszystkim na mnie.

- Niby dlaczego miałoby być inaczej? Ma szczęście, że dostał właśnie ciebie - odparła Anya. I na ostatku spojrzała na Jessikę.

- Tak się cieszę, że odnalazłaś Luciena, że miałaś okazję się z nim spotkać. Wiem, jaki przeżyłaś wstrząs, ale przynajmniej mogłaś zamknąć pewien rozdział życia, kochanie.

- Całą księgę, Anyu - sprostowała Jessika. - I wiesz, nieczęsto dostaje się drugą szansę w życiu, ale mnie się poszczęściło. Mam Marka. On twierdzi, że przyszłość należy do nas, a ja czuję, że ma rację.

- Wiem, że ją ma. I jest uroczy człowiekiem. Zresztą - oni wszyscy to wspaniali mężczyźni.

Niedługo potem zeszli na dół na kolację.

Nicky i Maria prowadzili Anyę, a kiedy weszli do jadalni, oczy zaszkliły jej się łzami.

Sala przeobraziła się w piękny angielski ogród. Pod ścianami piętrzyły się całe kompozycje roślin. Kamienne fontanny wypływały w powietrze łuki migoczącej wody. Wszędzie kamienne posągi, zegary słoneczne, altanki i sklepienia ze świeżych róż. Każdy stół nakryty blad różowym obrusem, z wazonem pełnym różowych róż w wianuszkach jasno płonących świec.

- Och, Nicky - wyszeptała Anya, nie mogąc się zdobyć na nic więcej. Kiwała tylko głową i trzymała go pod rękę. Doprowadził ją do głównego stołu, gdzie miała zasiąść w gronie najbliższej rodziny. - Dziękuję ci, dziękuję, kochanie - szepnęła tylko.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Anyu - odparł i usunął się, trzymając Marię za rękę. Odeszli wraz z innymi do swojego stołu.

Taka jestem szczęśliwa jak chyba nikt na świecie, pomyślała Anya, popijając wodę w oczekiwaniu, aż przy stole usiądą jej dzieci i ukochana siostra Katti. Miała wspaniałe życie. Osiemdziesiąt pięć cudownych lat. Miłości i szczęścia. Bólu i cierpienia. W tym także sporej porcji smutków. Ale zawsze otrząsałam się z kłopotów. Zawsze wychodziłam z nich zwycięsko. Może właśnie na tym polega życie? Na umiejętności przetrwania.

Tak właśnie obronną ręką wyszły ze swoich niepowodzeń moje cztery dziewczęta. Anya odwróciła się na krzesło, obejrzała na parkiet.

Maria tańczyła w ramionach Nicky'ego. Prowadził ją wolno po sali, szepcząc coś do ucha.

Kay wtuliła głowę w ramię Iana. Patrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem. Mąż był wyraźnie wniebowzięty.

Jessika przywarła mocno do Marka, a smutek zniknął zupełnie z jej twarzy. W jej oczach iskrzyła się radość.

Alexa z Tomem kołysali się w takt muzyki. W pewnej chwili Tom spojrzął na nią i pocałował delikatnie w usta.

- Pobierzmy się jak najprędzej. Tak bardzo cię kocham.

- I ja cię kocham, Tom. Na zawsze - szepnęła Alexa i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Anya, przyglądając im się, żałowała, że nie może słyszeć, co do siebie mówią. Po czym roześmiała się na głos. Oczywiście, że mówią sobie czułe rzeczy, składają obietnice - tak jak ona tyle lat temu. Najpierw z Michелеm Lacoste, potem z Hugh Sedgwickiem.

Miłość, pomyślała. Nic na świecie nie może się z nią równać. Bo tak naprawdę tylko ona się liczy.